

POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCYZYŃNIE

FIGHTING POLAND

— WEEKLY FOR THE POLISH FORCES —

PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień

Dnia 27-go stycznia 1945r.

Rok VII. Nr. 4

ODPOWIEDZI NA ANKIETĘ

O prostego człowieka i jego poczucie zadowolenia, o postęp i polepszenie jego doli w Polsce — dziś walka i gra.

Mało się ludzie pytają, co czuje, co myśli, w co wierzy polski żołnierz. I nawet unikają coraz częściej stwierdzenia: o co się bije.

A przecież na emigracji wojsko właśnie stanowi gros społeczeństwa, na nim, jak na podstawie nie dlatego że zbrojnej, ale że najliczniejszej, że młodej, że przeżnej, że reprezentującej przyszłość — oparte jest nasze istnienie.

Nie posiadamy swego instytutu Gallupa. Nie robimy przekrojów opinii, ani jej sondowania. Może plotki i nastroje londyńskie są w tym względzie materiałem wystarczającym? Nie wiem, czy ktokolwiek może się nimi posługiwać jako argumentem. Ale wiem, że mógłby się posługiwać opinią wojska. Bo stanowi ono wystarczający przekrój wszystkich warstw, klas i pochodzeń, wszystkich ziem polskich, mających reprezentantów swoich w tej armii. Zwiększa ostatnio, kiedy napływ nowych uzupełnień z kontynentu wydatnie rozszerzył platformę myślenia i uczucia tej grupy ludzi, która po czterech latach pobytu w Anglii czy Szkocji mogła się zdawać oddzielną od obecnej rzeczywistości europejskiej. Ci ludzie, którzy zostawili rodziny w Polsce, mają prawo mówić w jej imieniu. Ale wygląda zbyt często, że nikt nie jest ciekaw ich głosu. Nikt nie pochyli ucha między tych najskromniejszych, najbardziej wiernych i często bardzo mądrych, aby posłuchać, co mówią i czego chcą.

A jeśli nawet ktoś słucha, nie o tym niestety nie wiemy.

Uderzało mnie zawsze w zetknięciu z tak zwanym prostym żołnierzem jego poczucie patriotyczne i obywatelski stosunek do sprawy ogólnej. To już nie Jąski, Maćki i Wasyle naszych okolicznych rekrutów w Polsce, prości nie pochodzeniem, ale umysłowością, to ludzie wyrobieni, doświadczeni, oblatani. Widzieli wiele od czasu września. Nauczyli się nie mało. Wiedzą. Pobyt w Anglii także niejednemu przerobił — i to gruntownie. Mówił mi któryś na froncie: bardzo się uświadomili przez te cztery lata. W Polsce to byli czasem puści!

W tej chwili nie ma już miejsca na żadną taką pustotę. Zbyt blisko każdego dotknęła klęska, zbyt jasno pokazała wspólność sprawy, a nawet interesu, mieszczącego się w słowie: Polska. Przekonałem się o tym nie tylko na froncie, ale także w Szkocji. Za pośrednictwem ankiety własnej.

W Obozie Uzupełnień było wielu młodych chłopaków, ochotników z kontynentu, wcielonych do armii polskiej. Zyczliwości i zrozumieniu dowódcy obozu zawdzięczam, że moja propozycja nie poszła na wiatr. Oficer oświatowy sam się zajął jej zorganizowaniem. Wojsko na wysokich szczeblach nie traktuje poważnie ludzi płoża. To są w ich pojęciu cywile — choćby przebrani w mundur podporucznika. A już korespondent wojenny to prawdziwa zmora. I zawsze coś napisze niedokładnie, tam gdzie 9-ty batalion był akurat 8-my — i o łączności zapomni, że także brała udział i pokreśli coś z liczbą jeńców i nie wymieni wsparcia czołgami. W rezultacie same rozgoryczenia i pretensje. Ankieta była prosta. Składała

się z trzech czy czterech pytań i żądała odpowiedzi na te pytania. Bez próby narzucania czegośkolwiek. Nie potrzebują podawać nazwisk. Biała kartka papieru przed każdym. Pytania napisane na tablicy brzmiały:

O co się bijesz?
co powinno ci dać zwycięstwo?
jaką chciałbyś mieć Polskę?
jak widzisz własną przyszłość?

A oto streszczenie odpowiedzi.

Na pytanie pierwsze:

Bije się więc: o wolność ojczyzny, o stałą i lepszą przyszłość — aby się wojna skończyła, by mogłim powrócić do swoich stron rodzinnych — aby zwalczyć wszelkie zło świata nie pozwalające naszemu narodowi polskiemu istnieć — żebym nie był gnębiony przez wroga, ja i moi bracia — by pomścić krzywdy zadane mi przez totalizm — o wolność ojczyzny i rodzin, "co oni cierpią w obozach kaciętracyjnych" — by nasze dzieci mieli dobrze i wszyscy mieli pracę i żeby na przyszłość nie było znów wojny — żeby naszych wrogów tak pobić, żeby się więcej nie mogli rzucić na naszą ojczyznę — o słuszną i sprawiedliwą sprawę — o wolność całego narodu — o trwałą gwarancję pokoju — żeby Niemcom mordercy nabić "pożądnie" za te złe czyny, jakie popełnili, i żeby się dostać z powrotem do wolnej Polski i kosić żyto na swojej rodzinnej ziemi — żeby już raz był spokój, bo już dość tej wojny — żeby ulepszyć przyszłość dla dalszych pokoleń — żebyśmy wszyscy mieli wolność, jak "mieliśmy przed pięciu latami

i wszystkich Niemców wziąć za tylek i wyrzucić jak pies z Polski" — o swój wreszcie ustrój demokracji.

Co powinno ci dać zwycięstwo: powrót do ojczyzny, żeby się zakończyła ta moja pierońska wędrówka — należytą wolność, możliwość bytu dla każdego Polaka, ażeby uczciwą pracą mógł zarabiać na siebie i swoją rodzinę — oswobodzenie narodu — pracę, chleb, porządek — spokój — odbudowanie prawdziwej ojczyzny i rozszerzenie granic — dobry powrót i powiększenie kraju — wolność i dobre ustawodawstwo — dom taki, jaki polskiemu wojakowi się należy — abym miał dobrze — zabezpieczenie pokoju na długie lata — wszystkim Polakom szczęśliwy powrót — Polskę, jaka była w roku 1939 — spokojną wolność — Polskę większą, katolicką, sprawiedliwą rządzącą się samodzielną — spokój z tą wędrówką i dobry pobyt w kraju — abyśmy wszyscy razem ze zgodą pracowali, aby zawsze panowała jedność między Polakami — utrwalenie granic, "aby godło państwa naszego mogło swobodnie rozciągnąć swe skrzydła nad całym naszym krajem" — o zwrot własności, którą w tej wojnie straciłem i możliwe warunki życiowe we wszystkich warstwach ludności — o zabicie wrogów, którzy mi dokuczali, i wszelkie prawa w polepszeniu bytu — o równą i braterską zgodę, urządzenie jak się należy każdemu obywatelowi, który walczył o wolność — o ojczyznę "nieco ulepszoną" — o zapewnienie lep-

szego bytu młodemu pokoleniu.

Następne pytania dotyczyły przyszłości polskiej i jego własnej: jak sobie wyobrażasz swoje życie, jaki chciałbyś mieć dom.

Odpowiedzi na nie są najbardziej osobiste, najżywiej objawiające rodzaj doświadczeń i nauk, jakie sobie przyswoili w tej wojnie i z jakich pragną korzystać — tymczasem tylko w nadziei na powrót i możliwość urządzenia się w życiu na tle odzyskanej ojczyzny według najlepszych swoich możliwości.

Wyobrażam sobie, pisze jeden z nich, że nie zastanę żadnego Niemca na Pomorzu. Chciałbym tak mieć, jak człowiek powinien żyć. Moja wioska powinna być czysta i wesola.

Inny: tak jak w Anglii! Żyć we wsi odbudowanej, bo wszystkie budynki są popsute i pozarywane.

Chciałbym mieć lepsze powodzenie niż za Niemca, mieszkać w miasteczku, mieć różne zabawy i kościoły katolickie i własny dom. I żeby każdy miał takie prawo, jak ja.

Nie życzyłbym sobie w przyszłej Polsce niesprawiedliwości, złodziejstwa i ogólnego zła.

Wielu jednak myśli inaczej. Chce Polski choćby takiej tylko, jaka była. Tylko to mieć, co przed wojną mieli, ale poprawione. Ten pragnie lepszego porządku w gospodarstwach oraz stworzenia świetlic, gdzie młodzież by mogła spędzić wolny czas na czytaniu, grach, czy wreszcie zabawić się w spokoju i humorze.

Inny pisze: o przyszłym życiu trudno marzyć, bo jeszcze będę musiał przejść to życie pracą i wytrwałością. Miasto czyste, przemysłowe i wesole i pożyczka na dorobek jest warunkiem, pod "solidne" możliwości po powrocie.

Żeby ziemia polska zamieszkiwana była przez Polaków, a nie tam przez Niemców albo Tatałów — śliczny ogródek i mały domek — to wszystko czego pragnie następny.

Koleżństwo i czystość i zgoda w mieście są podstawami życia dla innego z nich, który dodaje: "ja sobie po wojnie wyobrażam życie bardzo liche, bo będziemy musieli robić jak te woły, aby spłacić dług sprzymierzonym, który będzie trwał aż do końca życia."

Byle więcej o wojnie nie słyszeć — pragnie dalszy. Ale przyznaje, że każdy musi się starać, by "tę naszą Polskę odbudować, jak się patrzy!"

Wielu patrzy dość ciemno na powojenne możliwości życia: ja sobie je wyobrażam smutne, bo ludzi będzie mało a wioski i miasta w gruzach a pieniędzy nie będzie i nie będzie za co budować... Dom przytulny, skromny, lecz bardzo jasny i żeby nie być zależnym, dom czysty i nierozwalny i wygnębione wrogowie i spokój na zagojenie ran Polski! — Wygnać wszystkich Niemców, którzy u nas mieszkali, a tych nowo przybyłych i Bezarabów zostawić do pracy — oto program wielu z odpowiadających. Dobrobyt i miłość wzajemna, zniszczenie kradzieży, zazdrości, samobójstwa i bezrobocia wy-czerpuje plany innego.

Czeka mnie ciężka praca i odpowiedzialność dla odbudowy, utrzymania i utrwalenia państwa naszego — mówi znowu żołnierz-obywatel — chcę być pomocnym swym przełożonym, służyć pracą, wiadomością i radą dla tych, którzy mniej wiedzą, niż ja sam.

Po wojnie mam nadzieję, że wrócę w swoje ukochane strony, chciałbym jednak, aby tam gdzie mieszkam były domy równo budowane na jeden wzór oraz ogród zoologiczny i piękne letnisko... Lepszy porządek, jak przed wojną i żeby nie było tyle różnych kłótni i plotek i grabieży, a poza tym domek z trzema dobrze umeblowanymi pokojami, tak jak wszędzie widzę tu w Szkocji.

Więcej jednolitości i upiększenia wioski — dostać 50 morgowe gospodarstwo i dwa konie, bat w rękę i kapelusze słomiany na głowę i pracować tak jak przed wojną...

Żeby w moim miasteczku Brodnicy powiększono koszary i plac sportów, a również rozmawiać swoim językiem i żyć i bawić się jako wolny Polak, bo wolność jest skarbem dla człowieka i żebym syna mógł posyłać do wyższych szkół.

Życie powojenne srodze liche i biedne widzi dalszy, nudne i smutne, "i nim się to skończy wszystko, trzeba dobrze pracować". Długi, które będziemy płacić "przymnięceniam" martwią następne z nich — nawet jeżeli wszystkich nieprzyjaciół wypędzimy tam gdzie diabeł młode ma, Amen...

Opowiada im ich własnymi słowami. Mówią za siebie. Nie trzeba żadnego komentara, ani dodatkowych stwierdzeń, aby uznać jaki to świetny, jak obiecujący ludzki materiał.

PRAWO DO NIEPODLEGŁOŚCI

Miniony tydzień należał do tych okresów wojny, w których bieg wypadków przebiegał obieg i rozpowszechnienie wiadomości. W ciągu kilku, kilkunastu dni znaczna część Polski została uwolniona spod uścisku pięcioletniej okupacji, a wojska rosyjskie w jednym miejscu przekroczyły przedwojenną granicę Rzeszy.

Ten piorunujący pęd zdarzeń obchodzi nas Polaków, nas żołnierzy polskich — jak najbliższej, bo przewala się przez naszą umęczoną ziemię, bo niesie upragnione i dugo oczekiwane wyzwolenie naszym domom i naszym rodzinom. Jednak ta chwila uroczysta w życiu każdego narodu, który cierpiał potworną tyranię hitlerowską, w życiu każdego żołnierza, który przeżył te tydzień przez lata walczył — nie odpowiada w pełni oczekiwaniom i pragnieniom. Dla nas jednak, dla nas pierwszych kombatanów tej wojny — uwolnienie od wroga nie oznacza wolności, nie oznacza tego samego, co uwolnienie Francji dla Francuzów, uwolnienie Belgii dla Belgów. Tylko w Polsce oswobodzonych terenów nie obejmuje prawowita władza, która prowadziła na nich walkę z podziemi. Tylko w Polsce los Armii Podziemnej, która ciągle, bez przerwy i w tej chwili jeszcze walczy, uderzając we wspólnego wroga, tylko w Polsce los tych żołnierzy najbardziej wiernych sprawie sojuszniczej i najbardziej ofiarnych — jest niepewny.

Stwierdził to w przemówieniu do Kraju z dnia 19 stycznia premier Rządu Rzeczypospolitej Polskiej, Tomasz Arciszewski. Ale to przemówienie — proste, uczciwe, szlachetne, przemówienie starego bo-

jowca i jednego z przewodców walki podziemnej nie jest tylko stwierdzeniem tego stanu rzeczy. Jest ono czymś więcej. Jest jeszcze jedną próbą dojścia do porozumienia z Rosją, do usunięcia zapor, zagradzających drogę do zgody i dobrosąsiedzielskiego współżycia. "Nie chcemy i nie możemy chcieć niczego od Rosji. Rosja nie potrzebuje niczego od nas" — są s'owa Szefa Rządu Polskiego. — "Wyciągamy rękę do Rosji i nie wierzymy, by ręka ta była odrzucona. Prawo do rzeczywistej niepodległości naszego narodu — oto cały nasz program, oto nasze zdanie. Prawo — to znaczy, że nie bagnet, choćby sławą okryty, dyktuje kto ma rządzić krajem. Wolność — to nie tylko wyzwolenie z niemieckiej niewoli. To wolność osobista, wolność słowa i myśli, wolność prasy, stowarzyszeń i związków, swoboda religijna, to rząd nie narzucony siłą, lecz powstały na podstawie demokratycznych wyborów bez obcego nacisku".

Te s'owa popiera ca'a opinia polska w Kraju i na emigracji, popierają wszyscy żołnierze Polskich Sił Zbrojnych, gdziekolwiek są i gdziekolwiek walczą ze wspólnym wrogiem Polski i Rosji, wspólnym wrogiem wolności. Te słowa stanowią wyznaczenie naszej żołnierskiej wiary i określenie możliwie najpełniejszej, możliwie jasnej i prostej celu, o który my żołnierze się bijemy, za który społeczność polska ponosiła i ponosi cierpienia nie mające sobie równych.

Wezwanie Premiera Polskiego odbiło się echem nie tylko w sercach polskich. Podjęła je prasa brytyjska, prasa całego wolnego świata. Zrozumieli, ocenili je

wszyscy ludzie wolni. Przytwierdzili im z głębi przekonania.

Nie od nas zależy skutek tych słów, cały dalszy bieg spraw po tej stronie walczących narodów. Ale chcielibyśmy, aby tu pamiętano, że takie słowa zostały powiedziane, że miały za sobą poparcie całego narodu, wszystkich jego żołnierzy. Żeby nam nie miało zły, jeśli je będziemy przypominać.

Nie ma radości na naszej ziemi, nie ma tego uniesienia, tego krzyku szczęścia, który wybiegał na przeciw naszych żołnierzy we Włoszech we Francji, w Belgii i w Holandii. Nie doczekaliśmy się jeszcze tego, że co płaciliśmy i płacimy cenę wysoką, cenę aż nadmierną, na co zastępowaliśmy krwią i nieugięciem. Ale to nie osłabia ani naszej woli, ani naszej wiary. Premier Rzeczypospolitej stwierdził przed światem za nas, że milczącą zbiorowość polską, za Polaków żuwach i umartych, że "pięć i pół-letnia walka Narodu Polskiego o byt niepodległy jest faktem, którego się już nie da ani przekształcić, ani zatrzeć..." bo "granice można zaoberać, ziemię można zabierać, człowieka można zabić, są jednak rzeczy, których się nie da ani przeinaczyć, ani zniszczyć".

My żołnierze Polskich Sił Zbrojnych jesteśmy twórcami tych "faktów dokonanych", faktów nieodwołalnych. Będziemy stać na ich straży. Będziemy je pomnażać. Będziemy podnosić głos — "o polskie prawo do prawdziwej niepodległości".

Bo ono jest treścią, sensem, celem naszego życia, walki i krzywd, jaką trzeba będzie złożyć — ofiary.

ALEKSANDER JANOWSKI

ALEKSANDER JANTA

KU OSTATECZNEJ
ROZGRYWKIE

Zbliżamy się do szczytowego punktu wojny — głoszą komentarze zarówno sprawniejsze, jak i niemieckie. Co prawda głosi się to raz po raz w czasie wojny. O każdej fazie i o każdej wielkiej ofensywie mówi się jako o rozstrzygnięciu; a jednak prawdopodobnie tym razem dopiero jest to słuszne stwierdzenie. Nie znaczy to oczywiście, że ostateczne rozstrzygnięcie nastąpi niebawem. Trzeba te słowa rozumieć w tym sensie, że zaczęła się kończąca rozgrywka. Jak długo potrwa, tego oczywiście nikt powiedzieć nie może.

Dlaczego dopiero teraz można mówić o ostatecznej rozgrywce? Otóż do tej pory Niemcy mieli na wschodzie możliwość manewru i mogli uprawiać strategię „sprzedawania” — oczywiście możliwie najdrożej — terenu w zamian za czas. Innymi słowy mogli się cofać, grając na wyczerpanie i znużenie przeciwnika. Teren bowiem, który oddawali, aczkolwiek cenny, nie był jednak niezbędny.

Istnieją dwa tereny, których utrata oznacza dla Niemców ostateczną klęskę w szybkim czasie. Jednym z nich jest zagłębie Ruhry i w ogóle reńsko-westfalski okręg przemysłowy, drugim zaś Górny Śląsk /z przyległymi okręgami przemysłowymi i górniczymi/. Bez tych dwu wielkich ośrodków potencjału gospodarczego, bez węgla, szczególnie dziś cennego dla Niemiec, które straciły źródła ropy i muszą fabrykować paliwo syntetyczne z węgla — nie mogą one prowadzić wojny. Dlatego tych dwu ośrodków Niemcy muszą bronić do ostatka. Odwrotu tu być nie może.

CELE ROSJI

Przez cały tydzień ubiegły wypadki rozwijały się z zadziwiającą szybkością. Każdy dzień przynosił nowe sukcesy sowieckie, co więcej zaś — nowe ofensywy. Cały front stał w ogniu.

O ile początkowo odnosiło się wrażenie, że ofensywa Koniewa w kierunku Śląska jest głównym uderzeniem, to później zarysowała się moż-

liwość, że jednak największy ciężar gatunkowy ma ofensywa Żukowa w kierunku na Poznań. Zresztą z każdym dniem stawało się jasniejsze, że rosyjska ofensywa zimowa ma nie jeden, lecz wiele obiektów. Atakując wszędzie, usiłując obok frontowego ataku od wschodu na Królewiec poprzez pomost Wystrucia, również wderzeć się do Prus Wschodnich poprzez pomost olsztyński, a nawet odciąć całe Prusy Wschodnie przez atak w kierunku Torunia i Gdańska, prac na Poznań, rozszerzając front ataku w kierunku Śląska przez ofensywę pomiędzy Krakowem a Karpacem — Rosjanie starają się nie dać Niemcom czasu na zorganizowanie obrony i rozgromić *Wehrmacht*, zanim zdola się przegrupować.

Niewątpliwie istnieją pewne podobieństwa, ale także i duże różnice pomiędzy sytuacją wytworzoną w lecie, gdy armie Eisenhowera na szerokim froncie doszły do granicy Niemiec i zagroziły zagłębieniu Ruhry, a obecną sytuacją na wschodzie. W obu wypadkach postępy były błyskawiczne i powstała możliwość zadania Niemcom decydującego ciosu. Wówczas jednak armie sojusznicze utknęły. Czy Niemcy potrafią powtórzyć na wschodzie to, czego zdolały uczynić jesienią dokonając na zachodzie?

Stabością Sojuszników było, że przebyli tak wielką przestrzeń, iż trudności zaopatrzenia zmuszały do chwilowego zawieszenia działań. Teraz na wschodzie przestrzeń do przebycia przed uderzeniem na Śląsk była znacznie mniejsza i trudności transportowe, aczkolwiek na pewno bardzo wielkie, jednak mogą być łatwiejsze do przezwyciężenia. Poza tym na zachodzie Niemcy mieli linię Zygrydy, na wschodzie niczego na tę skalę nie posiadają.

Z drugiej strony wówczas armie niemieckie na zachodzie były całkowicie rozbite. Tylko nieunikniona zwłoka w ofensywie sojuszniczej dała Niemcom czas na odbudowę sił, odzyskanie równowagi. Tymczasem na wschodzie armie niemieckie jak dotychczas nie są rozbite.

BANKRUCTWO STRATEGII
NIEMIECKIEJ

Jednym z najbardziej charakterystycznych rysów pierwszego tygodnia ofensywy rosyjskiej była stosunkowo bardzo mała liczba jeńców — 25.000. Nawet jeżeli wzmrośnie ona pokaźnie w najbliższych dniach, to jednak nie da się porównać z olbrzy-

mi ilościami jeńców, branymi przy przełomach na taką skalę. Cyfra ta zdaje się potwierdzać przypuszczenia już poprzednio wypowiedziane przez niektórych komentatorów, których zdaniem Niemcy przewidywali niemożność utrzymania dotychczasowej linii frontu i dlatego wycofali dużą część swych sił, trzymając front stosunkowo małymi siłami. Ostatecznie od dawna było wiadome, że Rosjanie mają przewagę w stosunku około 3:1. Tu zresztą tkwi cała tajemnica sukcesów sowieckich, tak jak w dotychczasowej równowadze sił na froncie zachodnim zawiera się tajemnica, dlaczego nie nastąpiła tam jeszcze decyzja.

Siły niemieckie na froncie rosyjskim oceniane są na około 150 dywizji. Pewna ilość ich jest jednak unieruchomiona w Kurlandii. Dlaczego Niemcy trzymają się tam z takim uporem — niewiadomo. Dywizje te przetruczone do Prus Wschodnich mogły stworzyć możliwości ofensywne, któreby bardzo utrudniały obecne uderzenie sowieckie. W ogóle strategia niemiecka nosi takie piętno marnotrawstwa sił, że niepodobna jej wytłumaczyć inaczej, aniżeli osławioną „intuicją” kaprala Adolfa Hitlera. Po co Niemcy tak zwlekali z wycofaniem się z Włoch? Dlaczego wciąż jeszcze poświęcają kilkanaście dywizji na trzymanie Norwegii? Jesliżby zsumować te martwe pozycje, to okazało by się, że chodzi o kilkadziesiąt dywizji, które mogłyby poważnie wpłynąć na sytuację na decydujących frontach.

Tym razem cokolwiek decydowali generałowie i dlatego możliwe jest, że Niemcy zdolali uratować swe siły. Mieliby w takim razie szansę ewentualnego przeciwuderzenia.

Ale wszystkie domniemane rejonu wyjściowe kontrofensywy, jeden za drugim dostają się w zasięg sowieckich korpusów pancernych.

Trzeba pamiętać, że na ogół nigdzie na naszych ziemiach zachodnich, ani też po niemieckiej stronie granicy, nie ma naturalnych linii obronnych. Nie ma też umocnień na skale linii Zygrydy. Jedyną szansą więc dla Niemiec jest zmontowanie jakiegoś przeciwuderzenia, przede wszystkim z północnego zachodu. Niebawem pokaże się, czy mają po temu dostateczne siły i czy czasu im stanie.

NA FRONCIE ZACHODNIM

O pozostałych frontach niewiele jest do powiedzenia. W Ardennach

trwa likwidowanie resztek klina niemieckiego, co ze względu na pogodę jest rzeczą powolną i mozolną. W związku z kontrofensywą von Rundstedta, która według ostatnich obliczeń amerykańskich kosztowała Niemców dwa razy więcej niżeli sojuszników /w praktyce Amerykanów/, czyli stanowczo zbyt drogo, warto zanotować zapewnienia premiera Churchilla, że przyczyni się ona raczej do skrócenia wojny, niż do jej przedłużenia i że nie opóźni ona ostatecznej klęski Niemiec na zachodzie.

Niemcy pocieszać się mogą jedynie pewnymi sukcesami w północnej Alzacji, gdzie zagrożenie Strasbourga ostatnio wzrosło. Francuzi podjęli ofensywę dalej na południe przeciw „workowi” wokół Kolmaru, co jednak nie może odbić się na sytuacji w rejonie Strasbourga.

WYCIĄGNIĘTA REKA POLSKA

Zajęcie przez wojska sowieckie ruin Warszawy, oraz szybkie usuwanie Niemców z Polski środkowej i zachodniej jeszcze bardziej zaktualizowało sprawę polską. Raz jeszcze i to w sposób szczególnie jaskrawo stało się jasne dla świata, że oswobodzenie od Niemców to nie koniec, lecz raczej początek najtrudniejszych zagadnień politycznych. Tragizm sytuacji, w której po pięciu i pół latach bezprzykładnych ofiar i poświęceń, chwila klęski i wypędzenia wroga z Warszawy nie może być święcona jako chwila odzyskania wolności, nie mógł ujść uwadze narodów naprawdę wolności ceniących.

Uczuciom, jakie w tej chwili targają każdym z nas, dał wyraz w swym przemówieniu do Kraju premier Arciszewski. Wyciągnął on rękę do Rosji dokumentując raz jeszcze wobec świata dobrą wolę i chęć porozumienia, której Polska tyle już dawała dowodów. Droga do porozumienia została wyraźnie określona; prowadzi ona poprzez rzeczywiste gwarancje naszej pełnej niepodległości.

Głos ma teraz Rosja. Czy odrzuci wyciągniętą rękę? Czy też uzna, że jednak naprawdę niepodległa Polska jest i dla niej konieczna i że dotychczasowe metody nie prowadzą do celu? Być może nadchodząca konferencja wielkiej trójki da odpowiedź na te pytania, które nie są tylko nekają. Zadaje je sobie świat cały, który dobrze wie, że w grze jest przyszły pokój.

Niektórzy sądzą, że sprawa polska figurować będzie na pierwszym pla-

nie narad Roosevelta, Stalina i Churchilla. Ale w rzeczywistości zagadnienie polskie jest tylko częścią szerszego zagadnienia. W gruncie rzeczy chodzi ni mniej, ni więcej, tylko o to, czy trzy wielkie mocarstwa mogą utrzymać swój sojusz wojenny, czy też skazany on jest na szybkie rozpadnięcie się. Jeżeli możliwe jest osiągnięcie porozumienia co do podstawowych zasad postępowania, jeżeli nastąpi powrót do prawa i odrzucenie siły jako czynnika decydującego, jeżeli porzucona zostanie zgubna koncepcja teherańska — to wówczas wszystkie konkretne zagadnienia nie będą nastrożać nieprzewidywalnych trudności. W przeciwnym razie i sprawa Niemiec i sprawa Polski i różne zagadnienia bałkańskie stanowiąc będą coraz to nowe źródła wzajemnej nieufności i nieporozumień.

PRZED SPOTKANIEM

Tymczasem każdy z trzech partnerów stara się wzmocnić swą pozycję w przededniu tego brzemiennego w skutki spotkania.

Stalin najpierw stworzył szereg faktów dokonanych w dziedzinie politycznej, a teraz spodziewa się móc rzucić na szalę swe wielkie sukcesy militarne. Nie bez racji stwierdza „Observer” /21 stycznia/ że kontrast między szybkimi postęпами rosyjskimi, a stabilizacją frontu zachodniego nie ułatwi zadania zachodnim mężom stanu. Oczywiście nie można wykluczyć, że zanim spotkanie nastąpi, rozpocznie się ofensywa także na zachodzie.

Jednakże Churchill i Roosevelt także mają atuty w swym ręku. Premier brytyjski zdołał przezwyciężyć kryzys wewnętrzny na tle sprawy greckiej, która sama zresztą weszła w pomyślniejszą fazę. Prezydent Roosevelt ma bardzo wzmocniona pozycję dzięki temu, że Senat niemal gwarantuje udział St. Zjednoczonych w organizacji międzynarodowej, o ile budowana ona będzie na zasadach zgodnych z ideałami Ameryki, innymi słowy St. Zjednoczone okłarują bezpieczeństwo zbiorowe wzajemną z wyrzeczeniem się przez inne państwa, w szczególności przez Rosję, polityki ekspansji terytorialnej, prowadzonej jakoby w imię bezpieczeństwa.

Spotkanie wydaje się bliskie. Niebawem więc już może dowiemy się, czy trzy mocarstwa potrafią znaleźć wspólny język i osiągnąć porozumienie — porozumienie rzetelne, któreby nie zostało zawarte przez poświęcenie interesów któregośkolwiek z mniej potężnych sojuszników.

Łondyn, 21 stycznia 1945

ALEKSANDER BORAY

Nagle wzmocnienie działalności lotnictwa niemieckiego na froncie zachodnim, zaobserwowane w ciągu drugiej połowy grudnia i pierwszej stycznia, było dla wielu niespodzianką. Nie była to jednak żadna niespodzianka ani dla dowódców brytyjskich, ani dla amerykańskich. Już od roku 1942 niemiecka polityka lotnicza dążyła do odbudowy dawnej siły powietrznej *Luftwaffe* i zapewnienia jej znowu tej roli, jaką ogrywała w operacjach armii niemieckich w latach 1939 i 1940.

Dzieje tych usiłowań szły po krzywych, które wznosiły się do góry na równi z nadziejami Goeringa, by znowu opadać nagle w dół, znow się podnosić i znow opadać. Zaniechanie budowy bombowców, nawet nurkowców i całkowite przejście tylko na typy myśliwskie jedno i dwusilnikowe, wreszcie olbrzymi program rozbudowy lotnictwa propulsyjnego, niezwykle szybki rozwój tych maszyn, dawał nadziejom niemieckim pozory rzeczywistości. Produkcja wzrosła olbrzymio, szczególnie przy końcu 1942 i z początkiem 1943. Samoloty myśliwskie buduje się łatwiej i prędzej niż bombowe, poza tym nie wymagają one tak precyzyjnego i długotrwałego przygotowania załóg, jak bombowe. Toteż cyfry produkcji skończyły prawie o 100%.

Jednak nagle przyszła interwencja lotnictwa alianckiego, szczególnie dalekiego bombardowania. Zasięg tego lotnictwa pokrył prawie całą Rzeszę. Liczne fabryki, nawet wraz z wyprodukowanym już sprzętem, poszły w ogień.

Nastąpił gwałtowny spadek, sięgający głęboko poniżej zamierzonego minimum, koniecznego do doprowadzenia lotnictwa niemieckiego nie tylko do dawnej wysokości stanów liczebnych pierwszej linii.

Tak to rok 1943 przyniósł ze sobą klęskę pierwotnego, niemieckiego programu rozbudowy lotnictwa. Z charakterystyczną dla nich energią i zapobiegliwością, Niemcy, szukając środków zaradczych przeciw rozbiciu ich produkcji przez lotnictwo alianckie, zdecydowali schować swój przemysł lotniczy pod ziemię.

Już w ciągu roku 1944 fabryki podziemne zaczęły wypuszczać gotowy sprzęt. Było to konieczne także ze względu na nowy program rozbudowy, obejmujący nowe typy samolotów propulsyjnych. Rok 1944 przyniósł więc zwiększenie stanów liczebnych pierwszej linii lotnictwa niemieckiego.

Jednak tenże sam rok 1944 przyniósł także inną, mniej przyjemną niespodziankę: zastraszający brak personelu lotniczego, szczególnie latającego. W związku z tym powstał nowy projekt, tym razem uzupełnień

tęgo personelu, jednak od razu został zburzony przez lądowanie Aliantów i niepowodzenia na terenie Francji i Belgii. W armiach niemieckich zarysowały się olbrzymie luki w ludziach, których nie można było zapełnić zwykłą drogą, a trzeba było zapełniać natychmiast, gdyż nieprzyjacieli stanął przeciw już na ziemi niemieckiej.

W poszukiwaniu uzupełnień sięgnięto wówczas do szkół lotniczych. Kto nie był ukończonym pilotem, musiał iść na front do piechoty i tam bić się jako zwykły piechur. Niektóre gazety szwajcarskie i szwedzkie podają, że zabierano z oddziałów nawet takich specjalistów, jak elektromechaników czy zbrojmistrzów.

Niewątpliwie ci lotnicy wypełnili swój obowiązek wraz z wcielonymi żołnierzami z klasy nieletnich czy z tych daleko poza wiekiem poborowym. Czas krytyczny minął, armia niemiecka odzyskała swą dawną prężność i mogła skutecznie przeciwstawić się naporowi nieprzyjaciela, wreszcie nawet uderzyć.

Jednak lotnicy w piechocie stracili swą wartość dla lotnictwa i tylko ma-

ły procent powrócił do szkół. Nie wpłynęło to dodatnio na możliwości rozwojowe *Luftwaffe*.

Według obserwatorów neutralnych Niemcy rozporządzają w tej chwili znacznymi rezerwami sprzętu lotniczego. Szybkość, z jaką reorganizowano i przeobrażano już zdawało by się zupełnie rozbite dywizyjony, które w rekordowym czasie zjawiały się z powrotem na froncie, wskazuje, że ocena wydaje się słuszną. Jednak brak załóg pogłębił się do tego stopnia, że lotnictwo niemieckie nie jest w stanie zwiększyć swej siły liczebnej ponad pewną miarę i, według wszelkiego prawdopodobieństwa, zwiększyć jej już nie będzie w stanie. Może i temu faktowi można przypisać to, że właściwie nie słyszało się wiele o lotnictwie propulsyjnym w czasie walk grudniowych w Belgii. Lotnictwo to jest jeszcze jak się wydaje, w stanie początkowym.

Nie należy bawić się w prorocтва, bowiem ta wojna nauczyła, że nawet najbardziej słuszne wnioski mogą okazać się fałszywe w zestawieniu z rzeczywistością, jednak wydaje się, że mimo całej energii, zapobiegliwo-

ści i znakomitych zdolności organizacyjnych niemieckich, *Luftwaffe* nigdy już nie powróci do górującej roli, jaką odgrywała w operacjach 1940 roku.

Zarówno rosyjskie, jak i niemieckie komunikaty lotnicze w ostatnich czasach mało wspominają o działaniach lotniczych. Rosjanie podawali z początkiem grudnia poważne sumy zestrzałów /50—70 dziennie/, jednak liczby te kurczyły się stopniowo i w ostatnich dniach przeciętna dla całego frontu od Bałtyku po Dunaj wynosiła osiem zestrzałów dziennie. Zarówno Niemcy, jak i Rosjanie mówili wiele o złych pogodach, o mgłach, chmurach i śniegu z deszczem, który nie pozwalał na użycie lotnictwa w szerokiej skali. Jednak osiem na cały ten olbrzymi front, to stanowczo mało. Można stać wycofać wniosek, że może na całym tym froncie znajdowała się jedynie minimalna ilość lotnictwa niemieckiego. Jest to całkowicie możliwe, gdyż operacje lotnicze na tak szeroką skalę, jak n.p. owa przeprowadzona przez *Luftwaffe* przy końcu grudnia, przy pomocy wielu setek samolotów, a skierowana prze-

ciw lotnikom alianckim, nie daby się przeprowadzić tylko jednostkami, które są bliżej lub dalej frontu zachodniego. Może dowódczowie niemieckie ścignęło do tego celu także jakieś jednostki z frontu wschodniego. Możliwe, że Niemcy albo nie liczyli się z ofensywą sowiecką natychmiast /podzielając zdanie wielu obserwatorów neutralnych/, albo też operowali na danych meteorologicznych, kalkulowali, że utrzymanie na wschodnim froncie wielu jednostek jest bezcelowe, gdyż i tak nie da się ich użyć skutecznie.

Należy jednak przypuszczać, że jest to tylko przejściowa faza i przy obecnym biegu wypadków niebawem będziemy świadkami wzmoczonej działalności lotniczej po obu stronach, szczególnie na północy, gdyż tam mroźny luty przynosi ze sobą zwykle pogody słoneczne.

Otrzymujemy wiele zapytań: jakie są właściwie liczebne stany lotnictwa sowieckiego na froncie wschodnim? Niestety nie możemy na to odpowiedzieć nawet w przybliżeniu. Opierając się na szwajcarskich piśmach lotniczych i porównując artykuły dotyczące się Sowietów z prasy szwedzkiej, portugalskiej lub wreszcie hiszpańskiej otrzymujemy tak rozmaite oceny, że trudno się na nich opierać. Szacunki niektórych sięgają 10.000, innych 5.000, znowu innych 15.000.

Wydaje się, że chyba pośrednia między 15 a 5, a więc 10.000 może najbardziej zbliżyć nas do rzeczywistości, z tym jednak zastrzeżeniem, że duże są różnice między wartościami bojową n.p. typów sowieckich a niemieckich, z plusem dla niemieckich — szczególnie pod względem uzbrojenia. Rosjanie także nie posiadają lotnictwa bombowego ciężkiego w znaczeniu amerykańskim czy brytyjskim, ich lotnictwo bombowe raczej jest zbliżone do dawnego niemieckiego. Natomiast wnioskować można z taktycznego sposobu użycia, że nacisk kładą na współpracę z ziemią, bezpośrednie wsparcie czołgów i piechoty, mniej natomiast na niszczenie ośrodków nieprzyjaciela o znaczeniu strategicznym. N.p. nigdy nie słyszałyśmy o bombardowaniu przez Rosjan fabryk niemieckich, co najwyżej ich operacje lotnicze ograniczały się do ataków na centra komunikacyjne bezpośrednio za liniami.

Z tego może wynikać, że sowieckie lotnictwo bojowe zostało rozwinięte na podobnych zasadach jak niemieckie w roku 1939, a więc mało samodzielne lotnictwo, przy braku lotnictwa strategicznego.

M. J. GORDON

Przegląd tygodniowy

Nowości lotnicze

Z tygodnia na tydzień

14 stycznia: Wojska sowieckie przecięły linię kolejową Warszawa-Kraków na pld. od Kielc i zajęły m.in. Pinczów.

—Lotnictwo Sprzymierzonych toczyło za dnia walki z lotnictwem niemieckim, w których Niemcy stracili 232, a Sprzymierzenni 45 samolotów.

15 stycznia: Wojska sowieckie zajęły Kielce i Działoszyce.

16 stycznia: Wojska sowieckie pod dowództwem marsz. Żukowa zajęły Radom, wojska zaś sowieckie pod dowództwem marsz. Koniewa dotarły do Koniecpolu i Miechowa.

—Wojska Sprzymierzonych zajęły Houffalize w Ardennach.

17 stycznia: Wojska sowieckie zajęły Warszawę i Częstochowę. W Lublinie ogłoszono, że wojska sowieckie zajęły Kraków.

—W nocy z 16/17 lotnictwo brytyjskie bombardowało silnie obiekty wojskowe w Niemczech wschodnich i Czechosłowacji.

—Za dnia lotnictwo amerykańskie bombardowało cele wojskowe w Hamburgu i okolicy.

—Wojska brytyjskie zajęły Saloni-

18 stycznia: Niemcy podali, że na ulicach Krakowa toczą się walki. W Moskwie ogłoszono, że wojska sowieckie zajęły Modlin, Piotrków, Łowicz, Sochaczew i Skierniewice.

—Wojska amerykańskie atakują w rejonie Diekirch na ptn. od Luksemburga, a wojska brytyjskie w rejonie Susteren na ptn. od Akwizgranu.

W piątek dn. 26 stycznia b.r. o godz. 6.15 wiecz.

w Wigmore Hall, Wigmore Street

KONCERT KOŁĘD

angielskich, czeskich, francuskich, polskich, włoskich

wykonawcy:

TOŁA KORIAN

diseuse

MARIAN BŁASZCZYŃSKI

pianista

Dochód na Fundusz Pomocy

Pisarzom w Kraju

nu. —W Izbie Gmin. premier Churchill dokonał przeglądu wydarzeń politycznych i wojennych.

19 stycznia: W Moskwie ogłoszono, że wojska sowieckie uderzyły się do Prus Wschodnich od północy oraz, że zajęły Mławę, Działdowo, Łódź, Wieluń, Kraków, Jasło i Gorlice.

—Niemcy atakują silnie w Alzacji północnej.

—Premier Arciszewski przemawiając przez radio z Londynu do Kraju powiedział: „Wyciągamy rękę do Rosji — nie wierzymy, by ręka ta była odrzucona”.

20 stycznia: Wojska sowieckie zajęły Tyłżę, Włocławek, Koło i Koszyce. W Niemczech ogłoszono, że walki toczą się na terenie Rzeszy Niemieckiej w rej. Namysłowa.

—Wojska francuskie rozpoczęły atak przeciwko pozycjom niemieckim na pld. od Colmar.

—W Moskwie ogłoszono, że podpisany został rozejm między rządem węgierskim gen. Miklosza a przedstawicielami Z.S.R.R., W. Brytanii i St. Zjednoczonych.

Z prasy i walk Armii Krajowej

Koleżeństwo broni

Koleżeństwo jest czynnikiem silnie wiążącym ludzi, n.p. przy pracy czy w innych jakichś okolicznościach, gdzie występują oni jako pewna, określona grupa, współpracująca ze sobą. Koleżeństwo ma wielkie znaczenie w życiu społecznym, bowiem nie dopuszcza ono do wyrastania szkodliwego samolubstwa, przyzwyczajając do współpracy, do solidarności, a nawet do poświęcania się za drugich. Koleżeństwo występuje jako objaw zarówno w życiu cywilnym, jak i w szeregach wojska, szczególnie zaś zyskuje tam na znaczeniu w czasie wojny.

Tak jak istnieje bowiem zjawisko koleżeństwa w świecie cywilnym w czasie pokoju n.p. w szkole, w pracy zawodowej, czy w sporcie — istnieje również koleżeństwo broni. Czym się koleżeństwo to różni od zwykłego koleżeństwa cywilnego?

Jest to objaw specjalny, powstający w warunkach wyjątkowych w czasie obrzimego wysiłku i niebezpieczeństwa walczących w czasie wojny żołnierzy. Warunki, w jakich ono powstaje, odbiegają bardzo, jak wiemy, od normalnej pracy lub życia pokojowego. To też i charakter tego koleżeństwa broni, tego związku ludzi walczących w imię wspólnej sprawy ramienia przy ramieniu jest inny, niż zwykłego koleżeństwa, musi być ściślejszy, pełniejszy. Wynika też stąd, że koleżeństwo broni ma większą rolę do spełnienia, większe jest jego znaczenie dla armii, niż koleżeństwa cywilnego dla jakiejś grupy.

Zwrócić musimy uwagę na to, że koleżeństwo broni jest pewnego rodzaju koniecznością w armii. O ile w życiu cywilnym jest ono tylko pożądaną, o tyle wprost nie można sobie wyobrazić armii nowoczesnej, nieożywionej duchem koleżeństwa. Wątpliwe bowiem się wydaje, czy inaczej armia nowoczesna mogłaby spełnić ogromne i trudne zadania, wymagające wielkiego zgrania się, życia się ludzi ze sobą.

Musimy pamiętać, że w wojsku nowoczesnym nie wystarcza najlepsza organizacja i dowództwo, że bardzo wiele zależy od ducha, jaki panuje w oddziale. Wytworzenie zaś tej dobrej atmosfery jest niemożliwe bez istnienia więzi koleżeńskiej. Wynika stąd dalej, że koleżeństwo w wojsku musi być pełniejsze, ściślejsze, trwalsze, niż jakiegokolwiek inne tego rodzaju zjawisko w cywilu.

Musimy uświadomić sobie, że nakaz koleżeńskiego postępowania musi być zachowany zawsze i wszędzie, niezależnie od najcięższych warunków w jakich żołnierz się znajduje. Zdawało by się, że te ciężkie warunki usprawiedliwiają, że niejako zwalniamy, rozgrzeszając od tego nakazu. Tak jednak nie jest. Przeciwnie, żeby utrzymać dobrego ducha bojowego w oddziale, trzeba koleżeństwo zachowywać do ostateczności w warunkach własnie najtrudniejszych. Nie sztuka bowiem być dobrym kolegą przy stole, w knajpcie, w wygodach i spokoju. Ale niebezpieczeństwo, ale trud to są dopiero chwile, w których zdajemy egzamin, w których okazać możemy, czy sami jesteśmy dobrymi kolegami i poznajemy naszych towarzyszy broni.

Przyjaźń nasza wojskowa, nasza solidarność koleżeńska musi być trwała, niezmienna, niezależna od warunków. Musi być szczerą, nie polegającą na kiepskich pozorach życzliwości obłudnej, lecz właśnie musi się objawiać w czynach, w go-

towości poniesienia ofiary, niesienia pomocy, ulgi. Koleżeństwo broni przenikać musi wszystkie chwile i wszystkie dziedziny naszego życia żołnierskiego. Możemy przytoczyć tu cały szereg przykładów tych wypadków, kiedy właśnie poczucie koleżeństwa broni w stosunku do współtowarzyszy musi się ujawnić w zachowaniu się naszym.

A więc zasada przenikająca nasze życie codzienne w wojsku, musi być zasada solidarności, t.j. poczucia odpowiedzialności wspólnej każdego za wszystkich i wszystkich za każdego, wynikająca ze wspólnych celów, do których dążymy i ze wspólnego losu, jaki nam przypadł. Stąd wynika najszerszy pojęty obowiązek niesienia sobie pomocy wzajemnej, nawet tam, gdzie nie ma wyraźnego rozkazu czy polecenia dowództwa. Koleżeństwo, to zjawisko, które nie może powstać na rozkaz z góry. To sprawa naszej samorządności, gotowości do ofiary, do pomocy. Wojna, życie codzienne żołnierza daje tyle okazji do niesienia sobie wzajemnej pomocy: na każdym kroku widzimy, jak wprost nawet zmuszeni jesteśmy do tego, by nie być egoistami, sobkami, ale myśleć także zawsze o innych. Pamiętajmy też bowiem, że w wojsku wszelkie sobkowskie, niekoleżeńskie postępowanie mści się bardzo na tym, kto się tak zachowuje. Taką jednostką nigdy też nie dozna pomocy, ratunku od kolegów.

Obowiązek niesienia pomocy

wzajemnej odnosi się jak zaznaczyliśmy do wszystkich chwil naszego życia polowego, a więc obejmuje obowiązek dzielenia się żywnością, kwatery czy posłaniem lub schronieniem przed zimnem, obowiązkiem ratowania rannego, przysięga z pomocą w każdej sytuacji koleźce lub oddziałowi i tyle innych prostych, zwykłych a koniecznych czynności. Obowiązek ten wymagać będzie od nas nie tylko jednak usług drobnych, jak dzielenia się jednym papierosem, ale czasem i wielkich, takich, które wkraczają w granicę męstwa wojennego i bohaterstwa, gdzie nie raz staniami przed koniecznością poświęcenia i narażenia siebie dla ratowania innych.

Należy jeszcze zaznaczyć, że koleżeństwo w wojsku obowiązuje niezależnie od stopnia t.j. jego duch musi przenikać całą armię a nie tylko poszczególne jej grupy, a więc korpus oficerski, podoficerski czy szeregowych. Nie koleżeńskie wiązać musi wzajemnie wszystkich żołnierzy między sobą — oficerów z szeregowymi, szeregowych z podoficerami i t.d.

Wszelki sztywny podział, jaki tu istniał kiedyś, powinien zniknąć, zaś koleżeństwo powszechnie panujące w wojsku, niezależnie od szczytów, przyczyni się niewątpliwie do wytworzenia ducha szczerzej demokracji tak niezbędnego w nowoczesnym wojsku.

Drugi moment o jakim należy jeszcze wspomnieć to związek zagadnienia koleżeństwa z zagadnie-

niem dyscypliny w wojsku. Trzeba podkreślić, że to wzajemne koleżeństwo pomiędzy żołnierzami różnych szczebli w żadnym wypadku nie może osłabić ducha dyscypliny. Przeciwnie powinno być jego doskonałym uzupełnieniem a dyscyplinę ślepa, niejednokrotnie mechaniczną — zamieni na oparte na głębokim zrozumieniu posłuszeństwa rozkazom. Dyscypliny bowiem nie utrzymuje się zamykaniem się zwierzchników w jakichś wyniosłych sferach w stosunku do podwładnych, lecz na wpojeniu we wszystkich zasady posłuszeństwa wobec rozkazu oraz jego doniosłości.

Koleżeństwo wzajemne — posłuszeństwo rozkazom: oto hasło, które zatem panować musi w życiu żołnierskim. Naturalnie, że całkowite zrealizowanie tego hasła uzależnione będzie w dużym stopniu od poziomu kulturalnego, umysłowego, etycznego i ideowego wielkich mas narodu, z których rekrutuje się armia.

Streszczając to wszystko stwierdziliśmy, że koleżeństwo wypełnić winno wszelki egoizm, jak tkwi zresztą w każdym człowieku, że musi przyczynić się do zapomnienia o sobie a myślenia i odczuwania kategoriami braterstwa wojskowego. W tym wypadku szkoła życia polowego będzie dla nas i na przyszłość dobrą szkołą życia, zahartuje bowiem naszą postawę wewnętrzną i umocni nasz charakter. Od naszego zaś zachowania się zależy będzie także i postawa innych. Wpłyniemy w ten sposób na utrzymanie należytego ducha w naszym oddziale i w całej armii przyczyniając się w ten sposób do ułatwienia sobie i innym przetrwania chwil ciężkich i wypełnienia naszych wspólnych obowiązków, jakie podjęliśmy dla sprawy.

/Artykuł z pisma "Żołnierz Polski" nr. 3 /38/, Warszawa, marzec 1944 r./



ŻOŁNIERZ POLSKI



Nr. 3 (38)

WARSZAWA

MARZEC 1944 R.

Służba łączności działa

Gdzie cywilizacja, gdzie elektryczność — tam obejdzie się bez dodatkowych trudności i hałasów. Lecz na zapadzie wsi zasilać trzeba radioaparat prądnica korbowa, huczącą jak młyn, męczącą i zdradliwą. Trzeba uruchamiać sieczkarnię czy inną maszynę, żeby zagłuszyć podejrzany warkot.

Nielatwa jest radiotechnika w konspiracji. Tym bardziej, że cała sztuka w szybkich zmianach stanowisk. Dwa dni w jednym "punkcie", to zuchwałstwo. Trzy — to szaleństwo. Za pierwszym razem stacje pomiarowe zanotują użyty "punkt" i gdy "grajek" wróci kiedyś — alarm pościgowy idzie z piorunującą szybkością. I dwu godzin czasem za wiele.

Więc przetrzucaj stację. Wymykaj się. Klucz. Myl wroga. Zmieniał miasto, wieś, mieszkanie. A ciągle z kupą drutów przy sobie, wśród rewizyj, kontroli, łapanek i obław. Z aparatem, bateriami, albo i tą diabelską prądnicą.

Niemieccy specjaliści radiowywiadu, to ten sam gatunek ludzi, co nasi "druciarze". Sprytu im nie brak.

Pracę radiostacji w O. ciągle utrudniały "podjazdy" niemieckie uganiające się jakoś dziwnie bez planu i sensu. Łoskot motorów i ryk klaksona przerywał "grę" i doprowadzał "grajka" do ostatniej pasji. Złośliwość niemiecką trzeba było jakoś pokwitować.

Oslone z żołnierzy O.S. wzmocniono, urządzono zasadzkę i rozpoczęto polowanie "na wabia": przez trzy dni, a raczej przez trzy doby stacja pracowała bez przerwy. Niemcy mieli tym razem dość czasu, by wystudiować położenie "punktu".

Czwartego dnia pojawił się na drodze samochód. Prywatna ciężarówka z budą. Szofer, ubrany po cywilnemu, borykał się cały czas ze zdezelowanym motorem, aż wreszcie, klnąc ohydnie stanął przed nosem zasadzonego patrolu.

Grzebiąc w gaźniku szofer kłął bez przerwy. Poza tym — co chwilę patrzył na zegarek. I to go zdradziło. Podjazdy używają bowiem do bliższych poszukiwań zegarków magnetycznych noszonych na ręku. Oslona wzięła chytrego Niemca na cel, ale ten klapnął nagle na

blotnik, wyrwał spod fartucha pistolet maszynowy i gruchnął serię po krzakach. Spod budy rozprysła banda żandarmów uzbrojonych po zęby. Wrzasnęły wszystkie lufy.

Po kwadransie Niemcy mieli dość. Starcie było wygrane. Bez strat.

Inna stacja A.K. pracowała w gęstym lesie koło C. Żołnierze z osłony trochę się nudzili w jagodzikach. Szła akurat ku nim babina wiejska z koszem na ręce. Za nią — o paręset metrów — chłopak z wiązką chrustu.

Zartem, od niechcenia, wyszło dwu chłopców na drogę. Pośmiać się, poprzekomarzać z babulką. Chichotki, dowiepuszki. Babina mówiła przesłicznym mazurskim językiem sprzed stu lat chyba.

—A w koszyku, babciu, co macie?

—Ano pomidory. I ładne. Zobaczcie.

Otwiera babulka kosz i łaps — granat wyciąga. A chłop już leży przy drodze i z chrustu "rozpylacz" dobywa.

Szczęście, że pistolety szybsze były od granatu i od "rozpylacza". Obaj przebrani wywiadowcy zginęli w mgnieniu oka. Ale z zagajnika wyroliła się kupa żandarmów. Długo przyszło ich przepędzać.

Na zwłokach babulki znaleziono zegarek magnetyczny, a pod chustką, w uszach, małe słuchawki.

Takie to żarty...

"Grajek" K. zabłąkał się, gnany "podjazdami" aż do P-wa. Sam, bez osłony, bez obserwatora. Póź-

ną nocą wpakował się do stodołki ze swoim aparatem. Zima. Mróz tegi. Zgrabiałymi rękami nastawił antenę, pociemku nastukał się godzinę, nim złapał kontakt. Bliski Wschód. Jakiś brat — żołnierz siedział z "tamtej" strony, pławiąc się w syryjskim upale. Tu "grajek" szczekał dygocącymi i dzwońciami zębami, przewiewany mroźnym wiatrem na wskróś.

Przy ślepej latorce czytał szyfr i pukal bez końca. Słuchawki na uszach ogłuszały go na wszystkie co się działo.

A tymczasem... O sto kroków dalej, po drodze, pędzało auto "podjazdu".

Gościnni gospodarze, patrząc na auto-widmo, przystając co parę kroków i snując się tam i sam — umierali ze strachu o "grajka" i o siebie. Ale coś szwankował pod słuch niemiecki i auto oddaliło się.

Celestynów po raz trzeci

Ciemno, mokro i zimno w celestynowskim lesie. Noc grudniowa ścieka z igliwia lodowatym deszczem. Stacyjka świeci oknami rozmazanymi w mgłę.

Ostatni pociąg osobowy do Warszawy odchodzi z białych kłębach pary. Sapanie parowozu i łoskot kół tłuką się echem po lesie. Mignęła na skrajnie czerwona latarnia. Tor wolny.

Dopiero za godzinę przeleci tędy pośpieszny "Urlauberzug" wojskowy.

Czy aby?...

Bo właśnie na krzyżźnie toru, niedaleko stacji, pracuje patrol minerski. Pakietuje przy podkładach szesnaście kilo materiałów wybuchowych. A wzdłuż szyn, w obmokłym lesie, zajmując stanowiska tego uzbrojony oddział: co siódmy żołnierz ma broń maszynową.

Już po raz trzeci bór celestynowski oślania akcją bojową Polski-Podziemnej. Na tym torze odbito w walce cały transport więźniów politycznych, na tym torze niedawno wzięto odwet za masakry warszawskie, na tym torze te-

raz kładzie się znowu śmierć, by wyrównać rachunek za czerwone afisze.

Nie przeszedł "Urlauberzug". Ziemią i powietrzem targa wstrząs kolosalnego wybuchu. Rozpędzony parowóz z żywiołową siłą wylatuje z szyn, wali się z nasypu, za nim jeden... dwa... trzy pulmany przewrócone na bok... czwarty z przeraźliwym zgrzytem szarpie i zrywa szyny, aż wyrzuty na torowisko skreca się i druzgocze pod potwornym ciężarem napierających mas żelaza i stali. Dwa dalsze wagony spiętrzone jak rozszalałe bestie wdzierają się w rumowisko, miażdżą ściany, skrecają dachy, rwą wszystkie nity i spojenia.

Z dwunastu wagonów ocalało pięć. Zostały w szynach. Bez okien, bez światła, zamarte.

Ku tej reszcie rozbitego pociągu wybiega z lasu oddział szturmowy z pociskami w garści. Huki wybuchów biją tępo, wtryski ognia rozjaśniają noc. Wagony odpowiadają bezładną strzelaniną.

Niemcy przyjmują walkę. Odstrzelują się coraz gęściej. Na-

wet z rozbitych wagonów zrywają się do obrony. Ale ogień ten idzie na ślepo. Grenadierzy wracają bez strat. I wtedy dziesięć luf miotacz zaczyna serię za serią, siekąc gradem kul po żelazie wagonów.

Drugie natarcie szturmowe następuje, kiedy Niemcy przywarowują, żeby przeczekać gwałtowną falę ognia. Milkną karabiny i swarliwe echa łamać się poczynają na nowo gradem wybuchów. Granaty, filipinki, termity pękają oślepiającymi bryzgami ognia.

Grenadierzy wdzierają się do wagonów, aby nie zmarnować ani jednego pocisku. Wrzawa starcia ginie w huku, dartym na strzępy przez c.k.m., który odcina Niemcom odwrót...

I jeszcze raz broń maszynowa ogarnia wartkim ogniem rozbity i płonący pociąg. Niemcy już nie mogą się bronić. Mają 20 zabitych, 30 ciężko rannych i przeszło 100 lżej poranionych. Po 15 minutach walki, opór jest złamany. Mogłaby nastąpić rzeź...

—Przerwać ogień... Odskok.

SWIADEK

nim jeszcze "gra" się skończyła. Dopiero ślady kół i bliska palba karabinowa "Panu Bogu w okno" przekonała głuchosłowego i niewiernego technika, że śmierć się o niego otarła.

Cóż to za ludzie, ci "technicy"! Starych specjalistów było wielu, ale sporo się wykruszyło. Zdażyli jednak wyszkolić nowy narybek, godny podoficerskich co najmniej odznak przy czarno-niebieskiej pauce. Było by co pisać o ich przygodach w służbie.

Parę dni przed ewakuacją Kijowa przez Niemców, jeden z "grajców" pojechał tam montować stację A.K. Nakryto go w "Schnellzug" wojskowym. Miał ze sobą sprzęt techniczny, ale Niemcom wystarczyło podejrzenie bez rewizji.

Rezultat był taki, że "grajek" koczył między swą eskortą — zezupakiem na kłamek i razem z walizką wyleciał na łeb z pędzącego "kuriera". Noc go uratowała od kul.

—Było by dobrze — powiada po powrocie — Ale za trzecim koziołkiem zламаłem słup telegraficzny własnym ciałem. No, może nie złamałem, ale poczułem go dobrze. A potem przyszło pieszo iść parę mil do S... żeby wracać do chałupy.

Najlotniejsi z lotnych. Dziś Wilno, za tydzień Kozibrzyk na Wołyniu, Lublin, Góry Świętokrzyskie... Wille, chałupy, gąszcz zagajnika, mróz i błoto: — oni taszczą swoje aparaty, łapią kontakty z ludźmi i ze światem, stukają sztyfem w mózg i serce Europy.

Piosenka o żołnierzu-tulaczku... Informacja dla milionów, złeczenia decydujące o losach tysięcy, rozkazy bijące wroga w najżywniejsze sploty — wszystko ulowią w eterze, nieomylnie skierują gdzie trzeba, gdzie czeka Walczący Kraj.

Jeśli tak ciężkie ofiary ma służba łączności A.K., jeśli tak twarda jest jej praca, to jest w tym miłomowlony hold ze strony wroga i świadectwo: bo tego się najciężiej prześladowa, kogo się nawięcej boi.

EDWIN



Kaziowi Szymurskiemu —
naszemu Kapelanowi.

ROZMOWA ZE STARYM KSIĘDZEM

Ksiądz schylił głowę. Wyblakłe, niegdyś niebieskie oczy, spłowiałe dziś i bezbarwne, jak otoczenie, w którym żył, patrzyły z mocą i bolesnym wprost natężeniem.

Wiatr ścichł. I nagle zapadła cisza tak doskonała i czysta, jak tylko w tych odległych, podarktycznych zakątkach globu cisza być może. Żaden dźwięk, żaden szmer nie kaleczył tej świętości spokoju. Przyszła już noc. Objęła fioletowym ramieniem skały, skrwawiła pobliskie szczyty wzgórz i wygładziła fale. Wtedy to ustał wiatr. Tak nagle i niespodziewanie, jak zerwał się był dziś rankiem około 3-ej w nocy huraganem północnym, by szaleć cały dzień do wieczora, by miąć i dusić trawę, szarpać budynki i hangary i trząść wyspę w gigantycznych podmuchach śpiętrzonych mas powietrza i skłębionych zwałach pyłu wodnego. Przyszła w końcu noc i założyła sztywne okowy łodu.

A ksiądz bolesne, bezbarwne oczy podniósł na nas i przygwałdział nas, paraliżował swoim spojrzeniem. Naftowa lampa na stole kopciła i tylko nikły pomień kominika rzucił omdlałe, czerwone błyski. I postać księdza na tym tle wyrastała do ogromnych rozmiarów. A słowa stawały się prorocze.

—Nie wiercie — ciągnął — temu, co mówią i tym, co krzyczą w świecie. Ziemia powstała z chaosu i gdy rękę Boga odrzuci, wróci w chaos i w krew. Nie wiercie szaleństwu świata i nie wiercie ciszy. Oblęd ludzkości niesie ze sobą śmierć. Szukajcie Czynów i Prawdy. Po owocach siejbę poznacie... — I zakrył swe

bolesne oczy ręką tak białą, że aż przeźroczystą.

Z samolotów na naszym lotnisku zdejmują już pewnie pokrowce — o 1-ej w nocy start. Na *runway* e sypią piasek i sól. Załogi w mroźnych, przemarzniętych barakach śpią snem kamiennym niewolników bez czucia i marzeń. Może da Bóg, że podniesie się poziom oblodzenia?

O 800 km. na południowy-wschód od nas leży Londyn. Targowisko sumienia i targowisko krwi. Londyn ciepłych, zacisznych *flat'ów* i wytwornych klubów nocnych. Wieczorowych sukien, diamentów i orchidei. Noc nad nim duszna, zmysłowa, mgielna. Noc londyńska.

Nasza noc dyszy śmiercią. Lodową, jasną, fioletową. I szczerzy do nas w uśmiechu zęby mrozu i rani falami. I rani radiem, gazetą, plotką. Krzywdą ludzką.

Siedzimy we trójkę przy kominiku: ten stary ksiądz miejscowy, nasz kapelan dywizjonowy i ja. Na 800 km. od Londynu, na małej, odciętej wysepce pod Arktykiem. Słowa są nam prawie niepotrzebne. Ten spokój nocy mówi nam wszystko — to spokój sumienia.

Strzeliły dopalające się węgle i wyrwany z zadumy stary ksiądz wyszeptał:

—Za lat pięćset, lub tysiąc, Bóg zawoła, zapyta świat — czy jest wśród was choćby dziesięciu sprawiedliwych? I nie otrzyma odpowiedzi. Świat pędzi w oblęd, w szaleństwo, w chaos.

Kominiek wylał ostatek czerwieni i w tej opadającej ciemności oczy starego księdza żarzyły się boleścią jak rubiny, jak krew.

KRAJ

Wracaliśmy na rowerach korzystając z ciszy, pogrążeni w milczeniu i myślach. W uszach brzmiały

WYSPA WIATRU

nam ciągle prorocze słowa księdza i ta dziwna wyspa licząca ledwie 700 mieszkańców i nasze miniaturowe lotnisko z wkopanym w ziemię obozem, wydały się nam przystanią cichą i bezpieczną. Mimo burz, huraganów i szkwałów, mimo gradów, zamieci i oblodzenia.

Księżyc wyszedł zza chmur i oświetlił szczyty wzgórz pokrytych śniegiem, zapalił srebro na jeziorach i skały ożywił cieniem. Droga wiała się kręto, pozornie bez celu, a na końcu drogi, w dolince, jak ukryta wśród liści piwonii, pasował się światłem nasz *beacon* lotniskowy. Z morza wstawała mgła.

Nasza ma a, dziwna wyspa przeziębiona zapachem jodu i wilgoci, tak na pozór niegościnna i wroga, tyle kryjąca wdzięku. Piękno tej wyspy jest dzikie, urzekające. Jak gdyby sama Przyroda chciała w nagrodę za ciągłą niepogodę i deszcz, w nielicznych chwilach oddechu oszłomić, upoić nas barwą i kształtem — pięknem.

Wysunięta na otwarty Atlantyk przyjmuje pierwszą fronty burzowe z grenlandzko-islandzkiego basenu niżów. I kipi, wrze rozpyloną w powietrzu falą, wbiła się w oczy gradem, oślepiła śniegiem o płatkach tak wielkich, jak ćwiartka ludzkiej dłoni. I kłuje, kaleczy boleśnie zimnem.

W tym klimacie głębokiej Północy ostała się tylko trawa, podmokła, żółta i ostra, rosnąca na nawianych piaskach i płytkim podłożu gleby, wyparta na groble i zbocza niezliczonych jezior, których jest tu więcej chyba, niż łądu, zepchnięta w moczary i trzęsawiska. Rosnąca kępami, bezładnie, nawet na dachach niskich, kurnych chat z poszyciem z gliny wymieszanej ze sianem.

ŁUDZIE

Ludność tutejsza pochodzenia celtyckiego, mówiąca językiem *gaelic*, zachowała dziwną, swoistą kulturę, w której pierwiastki greckie, mieszaną się z wzorami skandynawskimi i legendami Wikingów. W większości katolicka, głęboko przywiązana do tradycji, prosta i wierna. Być może, surowe warunki bytowania i często nędza wytworzyły tę odporność moralną i bezkompromisowość sumienia. Być może, iż tylko to, że cywilizacja Wielkiego Świata nie dotarła tu jeszcze, by zniszczyć ufność i wiarę i moralność. Lotnisko nasze leży w pobliżu tego małego, zamkniętego w sobie światka i dlatego oddychamy tu tak czystą i rzadko spotykaną atmosferą prostoty.

Jeszcze czterdzieści lat temu zachowywany tu był obyczaj stary, t.zw. *ceilidh*, powstały z tradycji minstrelów, śpiewaków, gdy starsi z rodu, pamiętający dawne czasy, w pełni księżyca, lub na nowiu, zbierali się razem i mówili młodemu o tym co kiedyś, dawniej było. Śpiewano pieśni, recytowano wiersze, opowiadania, legendy. Podawano sobie z ust do ust tradycję starą i kulturę. Przekazywano ją z pokolenia na pokolenie słowem, czystym, nie zepsutym jeszcze słowem. I tak chował się ten lud w ciężkim zmaganiu z groźną, surową przyrodą, w atmosferze legend skandynawskich z czasów okupacji norweskiej XII-go i XIII-go wieku. W pięknie baśni, mitologii greckiej i swej własnej, romantycznej tradycji.

"PRINCE CHARLIE"

Na tej właśnie, dzikiej i pustynnej wyspie szukał schronienia i znalazł najwierniejsze serce i pomoc, nieszczęsny wódz powstania z 1745 roku — *Prince Charlie*. "The Prince", jak go serdecznie do dziś dnia tu nazywają.

Dawne to były czasy, po pierwszym nieudanym powstaniu celem restauracji Stuartów na tronie angielskim w 1715 roku, zerwało się drugie powstanie, ostatnie, to słynne z 1745-go; jego wygnaniecy zawędrowali aż na drugą półkulę a ich potomkowie zapoczątkowali najpierwsze rody Kanady i Stanów Północnych Ameryki. Do dziś dnia dzieje tych powstań żyją tam w pamięci i pieśni, żywe i niezatarte.

Powstanie z roku 1745-go zaszło aż pod Darby, gdzie poniosło swą pierwszą porażkę, która później miała zadecydować o klęsce pod Culloden /koło Inverness/ i ostatecznym zwycięstwie wojsk króla

Jerzego II-go — *King George The Second*.

Po klęsce tej zaczął się okres okrutnych prześladowań i dzikich, bezwzględnych sądów. Scigany przez wojska hannowerskie Korony Angielskiej, nieszczęsny *Prince Charlie* schronił się na Hebrydy, gdzie spotkał na wyspie o romantycznej nazwie: "wzgórza dwóch brodów" /po gaelicku Benbecula/ największe serce i najczulszą opiekę daną mu przez córę starego rodu szkockiego, najwierniejszego Stuartom, Florę MacDonald.

Wszystcy wówczas na wyspach wiedzieli o nalożonej na jego głowę cenie, o cenie, jak na owe czasy niesłychanej, £30.000! I nikt z tych biednych ludzi żyjących tylko z ubożego połowu i nikłej hodowli owiec, nie zlakomił się na tak łatwy zysk — zdradę swego księcia.

Przez długie sześć tygodni ukrywał się książę na wyspach, mieszkał w szałasach i jaskiniach, nad brzegami dzikich jezior i wśród skał. Przewożony nocą przez miejscowych rybaków z wyspy na wyspę, przez tylko im znane brody i przesmyki. Wszędzie z nieodłącznym swym towarzyszem i opiekunem — Florą MacDonald. W końcu pod naciskiem pościgu ująć musiał w góry szkockie. Z nim do samego końca najwierniejsza, Flora MacDonald. Późną jesienią opuścił księżę łód

Szkocji i uszedł do Francji. Z tych właśnie czasów pozostała do dziś dnia znana w Szkocji piosenka: "Over the sea, to sky".

Na lewo w dół od mego baraku, ze dwie mile drogi, rozsypują się w deszczu i wichurze ruiny zamczku Flory. Może dziś, w tę jasną noc, są tam oni razem — ona, symbol najczystszej miłości i poświęcenia i on, *Prince Charlie*, romantyk tradycji i serce Szkocji.

NOC NAD BARAKIEM

Szron na baraku iskrzy się podziwiał diamentów. *Beacon* wyrzuca w niebo krótkie, pasowe łuny, jak krzyki gniewu. Para naszych oddechów kłębi się siwo ku górze i niknie wessana przez noc i mróz.

Skrzypią ostro drzwi baraku i słychać szelest uciekających myśli. Oddechy śpiących zduszone i ciężkie — już niedługo do rana. Kostnieją ręce po zdjęciu rękawiczek. Ziąb.

Za oknami zagrały silniki, pierwsza maszyna idzie na start. Wkadam drugą parę skarpetek i futrzany kombinezon lotniczy.

Zachód słońca po wietrznym dniu



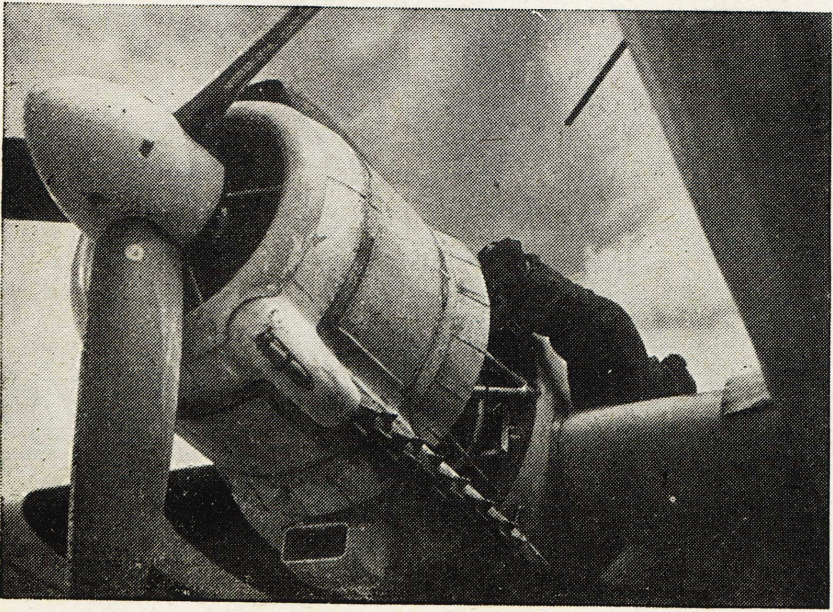
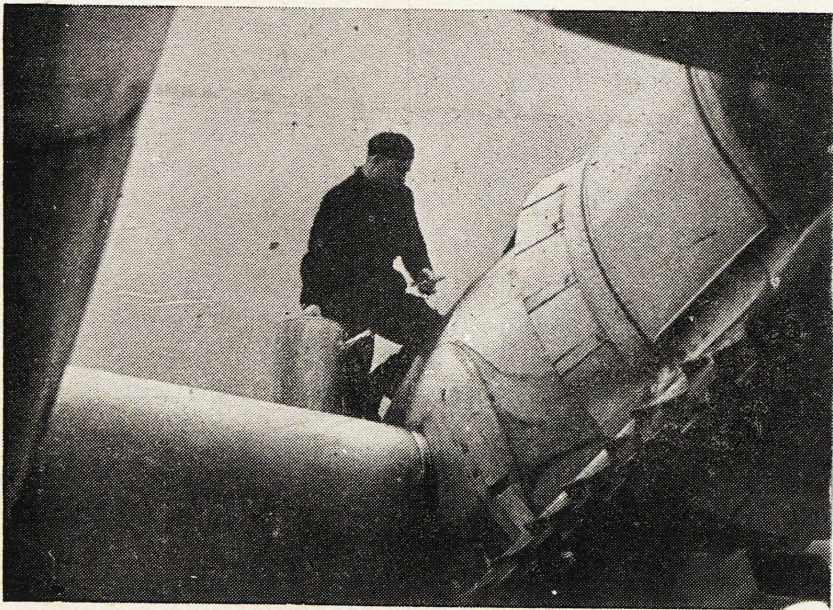
Przez wodę pod wiatr



Powrót z pracy



Mechanicy przy pracy



Rzecz o Dywizjonie Obrony Wybrzeża

Światło gaśnie z suchym, metalicznym traskiem. Nad oknem chwile się na drucie walczą Tołka, któremu w zeszłym tygodniu myszy zjadły cywilne ubranie.

Pod przymkniętymi powiekami zmieszane, przesuwają się obrazy wieczoru: ksiądz staruszek, dogasający kominek, *Prince Charlie* i ten księżyc, z błękitnym reflekssem mrozu jakby ktoś za nim zapalił hukowy reflektor. Zasnąć, za wszelką cenę zasnąć!

... Czy są dziś Flory MacDonalda kochające wiernie i ponad wszystko, w szczęściu i zmienności losu; czy dziś są władcy walczący dla poddanych? Jaką ma cenę zdrada?!

Czy ksiądz, ten stary, siwy ksiądz jest tylko szaleńcem swojej samotności, czy świętym? Zasnąć!!!

WOJNA Z OWCAMI, KLIMATEM I NIEPRZYJACIELEM

Starty tej nocy zostały opóźnione — owce zaszyły lotnisko. Więc przez godziny obsługi szalały biegające tyralierą po bieżniach i jeździły samochody, krajając światłami

reflektorów noc. Oblakane ze strachu owce ślizgały się na pasach startowych, grzęzły w piasku pobrażone i oszalałe, nieprzytomne, wpadały pod maszyny i do hangarów. Wreszcie cywilizacja zwyciężyła — owce zepchnięto światłem i wrzaskiem poza zasięgi z drutu kolczastego i maszyny poszły w powietrze. O świcie deszcz ochłodził czoła zwycięzców.

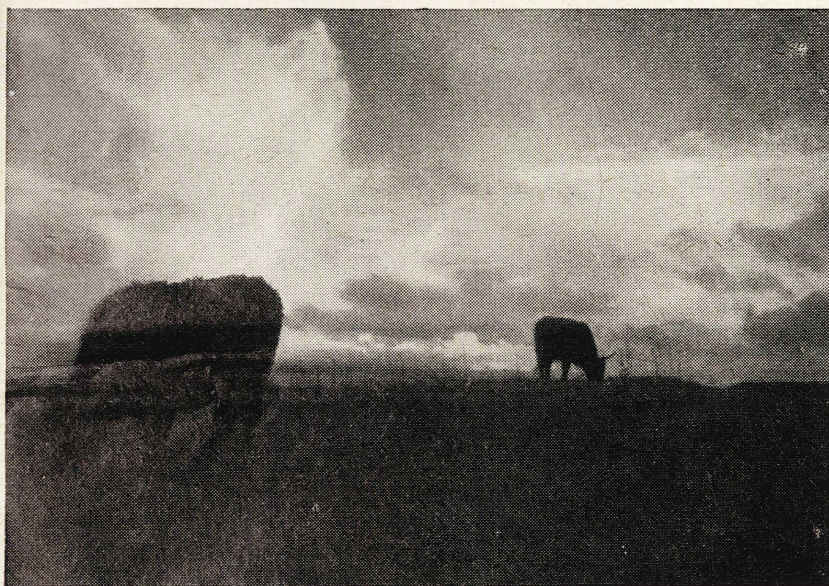
I znów wstał ranek, jak tyle innych, skąpany w szarudze dżdżu, oślizgły. I nowa porcja maszyn wiślała gdzieś nad lodowatym Atlantykiem, szukając śladów niemieckich okrętów podwodnych, prowadząc chytrą, podstępna walkę z techniką niemieckiej radiotelewizji i wynalazczością inżynierii niemieckiej. Z radiolokacją pokładową okrętu podwodnego i pływającym wydechem okrętu w zanurzeniu. Walkę prawie że beznadziejną.

Wylatano już tyle godzin i przetrwano tyle nocy — na próżno. Tyle żyć ludzkich w tych potwornie ciężkich zmaganiach z prawie nowym dla nas żywiołem: z przechodzącą kropką wody w huraganie, z oszalałym, wściekłym, upłynionym latającym lodem — przeszło o włos, o technię, od tego co w nagrzanych *Operation Room'ach* nazywają na czarnej, błyszczącej świeżością tablicy: *Overdue*.

Tyle setek godzin męki, rygania, konania maszyny i załogi

fotografie OSWALDA KRYDNERA

Krowy pasące się na ubogiej trawie



"Zdmuchnięci" rowerzyści



Chaty stałych mieszkańców wyspy



w dzikich, szatańskich podmuchach szkwałów i w groźnej wspaniałości potężnych wylądowań elektrycznych, w zimnych, okrutnych ramionach obłędzenia, na 500 stóp nad rozhukanym Atlantykiem — no nic. Czuje, świetnie wyekwipowane załogi wroga zanurzały swe okręty i ściągały pod wodę wydech, nim zmęczony samolot zdążył zbliżyć się do ataku.

"X" ATAKUJE

Aż wreszcie tego ranka, ... listopada w piątek, w świt szary, umazany wilgocią, w świt pełny smutku i beznadziei — obudziły się telefonistki drzemiące na podłusku: "X" for X-RAY z naszego Dywizjonu nadała depeszę o ataku. Poruszyło się lotnisko, zaalarmowano *Navy*, poderwano świeże załogi z *readiness'u*. A "X" z pierwszym światłem dnia zjawiała się nad lotniskiem, przeszła kilka stóp nad pasem startowym, pokosiła nad obodem i Stacją i ze skretu, bez gazu, siadała po myśliwsku — z fasonem! Lżejsza o sześć bomb głębinowych ...

Sprawozdanie z ataku było krótkie: w mroku kończącej się nocy jeden z naszych najbardziej utalentowanych pilotów, młodziutki chorąży Jaworzyn, dowódca załogi Wellingtona "X", zauważył przed sobą płomień i smugę dymu. Płomień wyrastający z wody!

Nie czekał, nie zastanawiał się, wiedział, że to jedyna, pierwsza a być może ostatnia jego okazja ataku. Otworzył drzwi bombowe i zniżył lot. Przy podejściu do ataku płomień znikł — widać wykryto na okręcie atakujący samolot i wciągnięto wydech silników pod wodę. — Rzucił więc bomby na początek smugi wciąż jeszcze liżącego fale dymu. Eksplozja i fale wyrzuconych w górę pian zakryły obraz. Gdy opadły, na miejscu ataku chwiała się rosnąca wciąż, polyskliwa plama oleju.

To wszystko. Setki wylatanych godzin — na kilkanaście sekund ataku. Wiele miesięcy treningu i zmagania. I wiele załóg, które nie powróciły do bazy.

W godzinę później siadała nasza "elka", która zawróciła z lotu. W drugiej godzinie patrolu prawy silnik zdał obroty i zaczął oddawać ogniem. Dociągnęła jednak do bazy. Wróciła.

Łodzi niemieckiej już nie odnaleziono, los jej pozostanie nieznany. Być może kiedyś, w szyfrach niemieckiej Admiralicji, znajdziemy po wojnie notatkę krótką, że U ... od dnia ... listopada 1944 roku, nie nadała żadnej depeszy i więcej jej nie słyszano.

W miejscu ataku przez parę godzin jeszcze świeciła rozżelaziona, fluoryzująca plama oleju. Póki nie rozmyły jej fale i wiatr i deszcz ...

DZIEŃ POD WIATREM

Dziś znów wieje wiatr. Zimny, lodowy. Ze śniegiem i gradem, przepłatanym deszczem. Grad tnie boleśnie w policzki i osłepia. Ciągniemy więc niekończącym się szeregiem wzdłuż drogi z lotniska w kapuzach i paszczach przeciwdeszczowych, czarnym, pogrzebowym korowodem. Skuleni w sobie i cisi — półosłepi. A wiatr wzmacnia się, rośnie, podnosi fale do wysokości grobli i potężnymi uderzeniami podmuchów stara się zrzucić nas ze ścieżki w skłębione, rozżarte fale. Co chwila silniejszy przybój wylewa brudne piany na oślizgły asfalt i rzuca pod nogi naręcza wodorostów. Trzymamy się więc za ręce i krok za krokiem, metr po metrze walczymy z tym porywistym, z każdą minutą tężejącym naporem. Już pół godziny jak idziemy, a normalnie tę drogę przechodzi się w dziesięć minut. Po bokach drogi zapóźnione, pojedyncze krowy z żalosnym rykiem przedzierają się pod wiatr z rozwianą i zmierzwiłą sierścią. Są karłowate, jak wszystko na tej wyspie, i robią wrażenie stadka nagle wystraszonych huculskich koni. A wiatr wyje, zawodzi, jęczy.

W messie podłoga zalana wodą i rzędy czarnych, gumowych butów pod ścianami. W *sitting room'ie* sino od dymu, którego kłęby złośliwy wiatr wyrzuca z palących się pieców.

Wichura wzmacnia się z każdą chwilą. Już nie sposób iść nawet. Franka, który zagadał się dłużej na lotnisku i wracał samotnie, wicher zrzucił z nasypu i pognał,



drzeworyty DOMINIKA WŁODA

potoczył na skały brzegu, nad morze. Wrócił przemoczony do nitki, przeziębły. Odcinek drogi na grobli pełzi na czworakach. Teraz pije *double whiskey* i szczyka zębami.

Siadły komplety do *bridge'a*, lecz nikt nie gra. Wszyscy patrzą na zewnątrz. Zająć popołudniu nie ma, bo nawet wozy boją się wyjechać na drogę. Głośniejszy sygnalizator gale 75 węzłów. Pod wieczór ma jeszcze wzrosnąć!

Na dworze pomimo wczesnej pory zapada mrok. Strzępy niskich chmur jakby spłoszone, przebiegają chyłkiem nad dachami messy i przepadają w szarudze wnętrza lotniska. Nad nimi potworne kłębowiska wypiętrzonych cumulonimbus'ów suną jak ciężkie czołgi, strasząc ogromem swych kształtów i rudo-czarnym podbarwieniem frontów. Deszcz z gradem dudni głucho układając się w poziome, prawie nieprzenikliwe smugi.

A wiatr zawodzi dziką pieśń, z każdą minutą silniejszy. Bije w okna, łomocze. Szarpie drzwiami i dachem, przygniata zwalami chmur i bije falami wody. Messa drga, trzęsie się, wibruje. Zda się, że każdej chwili dach runie i rozleci się ta klatka ludzkiego więzienia pod gigantycznym ramieniem żywiołu. To już nie wicher, to huragan — agresywny, gwałtowny, złowieszczy.

Tak mijają godziny. Ziab ciągnie przez pokoje mroźnym technieniem i rozwiewa włosy na głowach siedzących. Rośnie napięcie i rozdrażnienie. Już wieczór, już noc, już noc, już boli każdy mięsień, każdy nerw ...

Podano telefoniczną wiadomość, że statek idący do nas z kolegami wracającymi z urlopu trzykrotnie nadawał S.O.S. I zawrócił do portu w Szkocji. Czy doszedł?!

SŁOWA PRZECIW HURAGANOWI

Narasta noc i wreszcie wiatr o-

pada. Uderzenia jego są coraz słabsze, coraz bardziej miękkie. Już nie świszcze dziko, nie krztusi się ulewą i złością. Zawodzi tylko śpiewnie w niepozrywanych dotąd drutach i czesząc trawę na torfowiskach siąpi-krupistym, mialkim deszczem. Chmury podniosły się wyżej i z pomiędzy szpar w poszyciu nieba przegląda ukradkiem mdły i wyblakły księżyc. Przelatują krótkie szkwały ostatkiem burzowych porywów.

Powoli wychodzimy z messy. Idę z Kaziem, naszym kapłanem dywizjonowym. O czym myśli — nie wiem. Borykając się z wiatrem, idzie ostrożnie, omija kałuże wody i kępy wodorostów. Milczy. Ja milczę także. Ale myśl pracuje intensywnie: — ten wiatr, ta samotność na wyspie, opuszczenie, zapomnienie całej naszej pracy, niepewność losu i jutra i krzywdy, krzywda na żywym cielem narodu, na tym wszystkim co było dla nas święte. Co było celem, istotą walki! Dlaczego?!! Czy tylko pieniądze jest siła? A jeśli siła jest krew, to ile ton tej świeżej, młodzieńczej krwi trzeba wylać, aby obudzić sumienia ...?

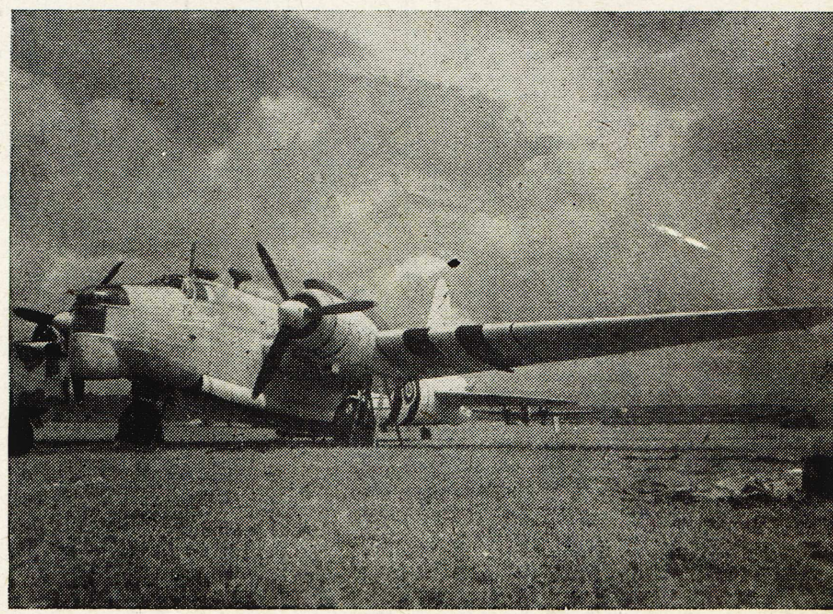
I naraz, jednocześnie — zaczynamy mówić. Kazik i ja. Mówić o czymś złym, okrutnym, podłym — wiatr zwiewa słowa i rzuca w przestrzeń, wypełniając nam uszy szumem i świstem. Krzyczymy! I wiatr żelazną pięścią wlatcza nam krzyk ten do gardła i palcami wichury dławia nas i dusi. A słowa, zaprawione bólem, huczą nam już w sercu tylko i w mózgach i grzęzną w ściśniętej krtani, solą spływają na wargi. I nie wiemy czy to wiatr, czy deszcz, czy lzy płyną nam po policzkach.

Zerwały się z krzykiem mewy. Gwiazdy błądły ...

pisane na Hebrydach,
w listopadzie 1944 r.

JERZY GŁĘBOCKI

Załoga i maszyna



Salerneńskie wspomnienia ze 'Ślaza'ka'

Praca wyróżniona w konkursie Związku Dziennikarzy R.P. na reportaż bojowy

W DRODZE DO SALERNO

Już w drodze na Maltę czuliśmy, że coś się szykuje. Jak zwykle w takich wypadkach, nastrój jest z lekka podniecony — wszyscy się cieszą, że nareszcie jakaś prawdziwa zabawa, pierwsze większe "excitement" od czasu Dieppe, gdzie tak doskonale nam się powiodło. Bardzo nam już brakowało takiego przeżycia, potrzebnego do wylądowania nerwów i odprężenia po ciągłych konwojach, męczących wachtach, jedzeniu, którego nikt nie lubił, a które tak dużo znaczy w morzu, po niedospanych nocach, nigdy niedomytych bakach i niemożliwie brudnych hamakach, w których człowiek nie raz rozmyślał nad "losami swymi i świata" w czasie bezsenności nocy po wachcie na radiostacji. Tak, w akcji zapomina się o wszystkim. Codzienne spory z kolegami, raporty i kłótnie z podoficerami — wszystko to idzie momentalnie w kąt z chwilą, gdy odezwie się tak dobrze znany dzwonek alarmu bojowego: dr-r-dr-r-dr-r-dr-r...

W basenie obok stoi kilkanaście kontrtorpedowców, między innymi bratni "Krakowiak" i większy, o pięknej sylwetce "Piorun". Pierwszy to raz, że tak spotykamy się w troje — cóż, my jesteśmy szare, male "hunt'y", a on dumny "fleet-destroyer", znany uczestnik boju z "Bismarckiem".

Gwizdzą zbiórkę na pomieszczeniu "A" i Z.D.O.* w swój opanowany, a zarazem niedbały sposób ogłasza nam, że bierzemy udział w niezwykle doniosłej operacji desantowej pod Salerno i idziemy jako "senior destroyer" grupy dziesięciu k.t., w osłonie floty pięciu lotniskowców.

— "Spodziewają się wielkich rzeczy po tym desancie, więc oczywiście starać się uważać na wachtach, wzmocnić obserwację, no, a reszta pójdzie w porządku... naszym dowódcą, jest vice-admirał Vayan" — kończy.

O tak, znamy Vayan'a, słynnego dowódcę — "Vayan of the Cossack" przemawia nam do wyobraźni...

Następnego dnia rzeczywiście wypływamy w kierunku na Salerno. Po drodze dostajemy telegram: "Włochy kapitulowały i przyjęły warunki — unconditional surrender". U nas duża radość, ale operacja oczywiście nie jest odwołana i w nocy przechodzimy przez Cieśninę Messyńską. Brzegi są rzęsiście oświetlone, biją dzwony kościelne i widać wyraźnie ludzi, roześmianych i gestykulujących na tle wielkiego ogniska.

Chodziliśmy później z naszymi lotniskowcami, osłanialiśmy "Warspite'a", gdy w krytycznym momencie bombardował ogniem swych piętnastocalowych dział pozycje niemieckie i w ogóle dużo obracaliśmy się po okolicznych wodach, aż wreszcie przypała nam w udziale patrol w Zatoce Salerneńskiej, gdzie pech chciał, że stawała linka od bojki wkręciła nam się w śruby. Dowódca zdecydował, iż staniemy w porcie i poprosimy o nurka.

...

Właśnie przed chwilą weszliśmy do Salerno, jako pierwszy kontrtorpedowiec aliancki. Błękitno-słoneczne Capri, za zasłoną poranych oparów, układających się w fantastyczne płaszczyzny, zwoje i pokręcone spirale, co pną się wiadomo skąd i rozplywają się błado w promieniach rannego słońca — zostaje po lewej burcie.

Przed nami rozjaśnia się naprawdę piękny widok, z jednej strony głęboka, o zupełnie stawo spokojnej wodzie zatoka Salerneńska, marszczona gdzieś gdzieś słabą bryzą, poranna — z drugiej, na stokach gór, małe o jasnych barwach, miasteczko włoskie, odcinające się wesoło od niebieskiego nieba. W dali na horyzoncie, ze strony Neapolu, widnieją pocztówkowo znana, wyniosła sylwetka Wezuwiusza, zaślaniająca sobą zatokę i samo miasto, które jest jeszcze w rękach niemieckich.

Stoimy w kilku na pokładzie i rozkoszujemy się pięknym widokiem i świeżym, morskim powie-

* to znaczy: Zastępca Dowódcy Okrętu.

trzem. Dobijamy właśnie do mola, na którym uwiija się już grupa Amerykanów, uprzążająca grzyby buldozermi. O parę kroków dalej leżą resztki zestrzelonego "Messerschmitta" ze zbrudzoną swastyką na skrzydle.

Nasi chłopcy w chwilę po zakotwiczeniu już się zakrzętnęli, pomajdrowali i zdumiony Z.D.O. oglądał niemiecki "Oerlikon" na rufie. Inni przyciągnęli taśmy od włoskich C.K.M.ów i inne "pamiątki", ale niestety, Dowódca nie miał zrozumienia dla zamiłowań kolekcjonerskich i wszystko, acz niechętnie poszło za burte.

WYJŚCIE NA LĄD

Po południu wyjście na ląd — wszyscy obiecują sobie różne rozkosze. Jedni zachwalają wino, drudzy szykują się do przygód miłosnych, gdyż o Włoszkach mamy jak najlepsze zdanie, a wszyscy chcą zobaczyć miasto, które niedawno temu było świadkiem zaciętych i krwawych walk ulicznych. Niemcy oczekiwali desantu, przyszły momenty, kiedy zdawało się, że wszystko stracone, czołgi niemieckie rozjeżdżały żołnierzy na plaży. Teraz to już minęło i jak mówią Anglicy, sytuacja jest: "Well in hand" /całkowicie opanowana/.

Gwizdzą zbiórkę, ubieramy się szybko i po przeglądzie połączonym z paroma słowami moralnej porady, wychodzimy na ląd.

Przechodzimy właśnie koło gmachu jakiegoś urzędu faszystowskiego, o ładnej nowoczesnej budowie, na którego frontonie widnieją znane słowa: "Credere, obbedire, combattere... /"Wierzyć, słuchać, walczyć/.

Obydwaj uśmiechamy się równocześnie, i Wojtek mówi: — "Coś tak, jak mane, tekel, fares..."

Z boku, ze zmiętego i dawno już brudnego afisza patrzy na nas Mussolini, ubrany w parady mundur z hełmem bojowym i podniesioną ręką. Wygląda teatralnie i nieprawdopodobnie na tle tego zniszczonego, zdumionego miasteczka, które historia traciła nagłe gorące skrzydło. Życie tu stało się brutalnym intruzem, nieuznającym żadnych cierpień, poświęceń, ni braku winy...

SPOTKANIE Z JEŃCAMI NIEMIECKIMI

Szliśmy dalej... Obok przewalał się tłum żołnierzy angielskich, amerykańskich, nowozelandzkich, hinduskich i kanadyjskich. Na nas, ubranych w eleganckie mundury wyjściowe, patrzono z ciekawością i zainteresowaniem, sylabizując powoli: "MA-RY-NAR-KA WO-JE-NNA".

Nagle małe poruszenie. Z bocznej ulicy prowadzą jeńców niemieckich. Młyny mają dość pewne siebie, ale na twarzach brudnych i za-

jeszcze dwa niecodzienne spotkania. Pierwsze było konieczne, drugie dziwne i zastanawiające.

W pewnym momencie podszedł do mnie jakiś nieznajomy żołnierz angielski i z bardzo znajomym akcentem zapytał: — "Co, Pan też Polak?" — "Tak" — odpowiedziałem. — "A co Pan tu robi?" — "Jestem w Palestyńskim Legionie i my też walczyliśmy..."

Tu rozmowa nasza została przerwana hałaśliwą kłótnią w rosyjskim języku. Ki diabeł?! W naszym kierunku zbliżała się grupa marnie ubranych cywilów, przedstawiając się z daleka głośno, typową dla Rosjan rubasznoscią, jakoby byli niemieckimi jeńcami wojennymi.

Okazało się, że zostali tu ściągnięci do robót polowych, z których uwolnili ich wojska amerykańskie. Śmiali się, żartowali i widać było po ich czerwonych minach, że cenią sobie wino, choć to luksusowy produkt burżuazjskiej cywilizacji.

Jurek P., członek jednej z najbogatszych przed zeszłą wojną rodzin w Rosji wdał się z nimi w pogawędkę, sypiąc rosyjskimi kawalami i dowcipami jak z rękawa. Byli oczarowani jego znajomością języka, swadą i wygadaniem.

W ogóle widać było, że są zadowoleni z życia, a o powrocie do ojczyzny jakos nie mówili. Wyglądali trochę jak więźniowie, których

rzu duży apetyt, sprzedawca powiedział mi, że policzy taniej, o ile zapłacę mu srebrem. Uśmiechnąłem się i odrzekłem, że jest to nawet wygodniejsze dla mnie, na co ten zaczął się tłumaczyć, że srebro jest zawsze srebrem, a jeszcze niewiadomo, co się w przyszłości może zdarzyć, kończąc, że "porco Mussolini" /wielki Mussolini/, pozbawił go dachu nad głową i pracy.

Z boku podszedł do nas niepozorny Włoch, wyglądający na jakiegoś urzędnika i z tajemniczą miną pokazał mi dość ładny zegarek "Omega", mówiąc, że chce za niego dziesięć funtów. Żeby się odciążyć bąknąłem, że daję pięć i odszedłem.

Chodził za nami potem przez parę ulic, co róg opuszczając cenę o funta. Wreszcie zrytowałem się i powiedziałem, żeby odszedł, na co z westchnieniem odparł, że weźmie pięć funtów, a jak mu zapłacę częścią srebrem, to mi doda różniac z Matką Boską. Prawdziwa choroba z tym srebrem, czy kie licho!

Wojtek zaczął się śmiać i kategorycznie zażądał dla siebie różniac z Matką Boską, wobec czego transakcja doszła do skutku i posiadłem "Omegę" i różniac, przy czym zegarek okazał się całkiem dobry, a w różniac od początku nie wątpiłem...

WRACAMY NA OKRĘT

Zacząło się ściemniać, smukłe, grobowe cyprysy były już bardziej podobne do cieni, niż do żywych drzew, a ruiny zamku koronujące pobliską górę krwawiły się w zachodzącym słońcu, jak jakieś fantastyczne pobojołwisko. Prawdziwe pobojołwisko było już we władaniu szybko się rozprzestrzeniającego zmierzchu...

Urzeczeni godną i spokojną pięknością krajobrazu, w jednej chwili zapomnieliśmy o zniszczeniach i nędzy wojennej otaczającej nas wokoło i poddaliśmy się bezwzględnie urokowi tej wieczornej chwili.

Sródziemnomorski zmrok zapadał szybko. Trzeba więc było iść na okręt. Wracaliśmy wąskimi, malowniczymi ulicami dzielnicy robotników i drobnych sprzedawców.

Stroskana ludność, po dniu, po którym niczego się nie można było spodziewać, pełnym czczego słońca i niepewności jutra, siadała na progiach domów, opowiadając sobie różne nowinki o tych, którzy przyszli w obcych mundurach, przynosząc z sobą dziwną mowę i jakąś gorączkową pogoń za czymś, co dla nich, ludzi włoskich, było mało uchwytne.

Dopiero na okręcie zaczęła się wzajemna wymiana wrażeń. Zależnie od temperamentu i nastroju, jedni mówili o kobietach, które spotkali, dziwiąc się ich smagiej, orzechowej cerze, kontrastującej adnie z ciemnymi włosami, inni wspominali wino, którego nigdy nie było dość i że to nie to samo co gdzieś, tam, kiedyś... a wreszcie ostatnia grupa bardziej wrażliwa, opowiadała o zniszczeniu miasta, do którego myśmy się też pośrednio przyłożyli i wzdychała: "Co za... wojna, już piąty rok..."

Na ostatku przyszło paru kolegów z Januszem na czele, którzy odwiedzili Polaków, jeńców z armii niemieckiej, umieszczonych przez Anglików w pobliskim budynku. Ogromnie się cieszyli z świeżo uzyskanej wolności, chcieli jechać do Anglii, by wstąpić do wojska.

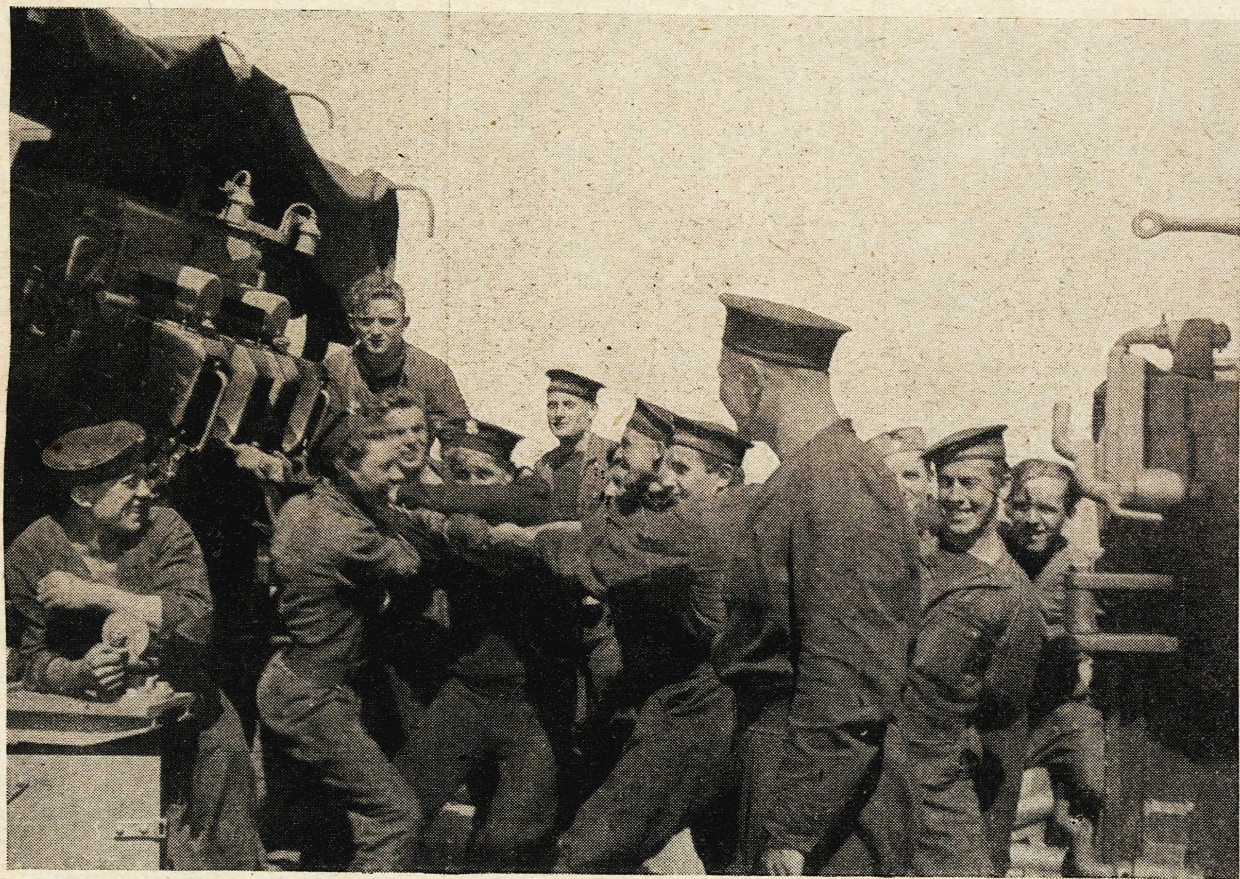
Po chwili Janusz wyjął i przypiął na boku zeszytowaną kartkę papieru, na której widniał niewprawną ręką narysowany orzeł z napisem: "Marynarzom Polskim — Niech żyje Armia Polska". Był to dar, przyniesiony z obozu Polaków przemocą wcielonych do niemieckich szeregów — znak ich łączności z nami.

Na to wszedł pijany Jasio i swoim zwyczajem krzyknął: — "Tak, to ładnie — a tego... powiesimy na latarni... zniszczymy mi Polskę, zniszczymy..." — potknął się i upadł na bakiste.

Nikt się nie śmiał i nikt nie oburzał. Zapadła chwila milczenia, wreszcie ktoś się odezwał: "No cóż, trzeba będzie iść spać..."

Salerno zostało w mroku za nami.

KRZYSZTOF KLINGER



Od razu uderza ogrom zniszczenia. Domy z świeżymi ranami po pociskach artyleryjskich robią przykre wrażenie. Prawie wszystkie sklepy są pozamykane, ale i te otwarte ofiarowują tylko pastę do butów i sznurowadła.

Ludzie chodzą jacyś sennie-zdumieni, jeszcze właściwie nie zdając sobie sprawy co się stało. Nie dziwię się im, tyle ostatnio przeszli, na tyle patrzyli... Byli tu Niemcy rekrutując i grabiąc, teraz przyszli Anglicy, a Bóg jeden wiedział, co w zanadru kryła dla nich przyszłość. Miasto kilkakrotnie przechodziło z rąk do rąk, ogień i bitwa wycisnęły tu krwawe piętno, a pociski i bomby nie oszczędzały nikogo. Wszystko to działo się na ziemi, która już od dawna nie zaznała wojny, gdzie ludzie żyli słońcem, morzem i turystami, którzy to słońce i morze chcieli zobaczyć.

Jeszcze teraz Salerneńczycy słyszeli strzały, jeszcze uprzętały trupy gnijące gdzieś gdzieś po piwnicach i trzożni i zastraszeni patrzyli na nas jakimiś zobojetniającymi oczami i wołali do swoich *bambino*, żeby zostali w domu, bo idą jacyś obcy i dziwni ludzie. Nie rozumieli nic, bo jak? Walczyli tu Niemcy z Anglikami, a co tu robili oni, gospodarze tej ziemi...? Uśmiechali się tylko przymilajaco i powtarzali bezmyślnie: "Tutto perduto, finito Benito..." Ani Karta Atlantyka, ani t.zw. realna polityka nie były im znane. Prawda był głód i brak dachu nad głową. rośniętych znać zmęczenie i pewne-

go rodzaju rozczarowanie. Nie wiem czym ono jest spowodowane, wynikiem bitwy, niewolą, czy jakimiś osobistymi zawiedzionymi ambicjami lub nadziejami.

Na nas patrzą wzrokiem obojętnym, zszarzałym — widocznie nie poznają. Ten posępno-wrogi przemarsz, przerywa nagle niespodziewany, oszałamiający — wprost krzyk: — "Boże to rodacy, Marynarka Wojenna".

Spotkanie było rzeczywiście nieoczekiwane. Zatrzymujemy konwojentów angielskich i zwracamy się w kierunku autora wykrzyknika. Przed nami stoi niemiecki sierżant sztabowy z baretką Żelaznego Krzyża i jakimś włoskim odznaczeniem. Rozpoczynamy rozmowę, okazuje się, że jest ślaza-kom, że był na froncie wschodnim, w Libii, Sycylii, i ostatnio w samym Salerno. Opowiada, że na szczycie góry, przytykającej do miasta usadowił się oddział niemiecki, który jeszcze parę dni po ostatecznym wycofaniu się Niemców walczył i zadawał duże straty wojskom alianckim na dole. On sam był artylerzystą i miał zostać oficerem za dzielność w kampanii włoskiej.

Zaczeliśmy się dziwić, ten Żelazny Krzyż, ten stopień oficerski to jakoś nie pasowało. Pożegnaliśmy się szybko i poszli dalej.

LEGION ŻYDOWSKI I "CHAROSZYJE PALAKI"

Dzień ten krył jednak dla nas dopiero co puszczono na wolność. Byli gadatliwi i bezpośredni.

Wszystko im się podobało. Dziwili się naszemu porządnemu umundurowaniu i pytali skąd tyłu z nas umie po rosyjsku. Gdy się dowiedzieli, to w szczególności nie bardzo chcieli wchodzić.

Konieczność prosiła żeby się z nimi napić, bo my ich przyjaciele "charoszyje Palaki!"

"PORCO MUSSOLLINI", OMEGA I RÓZANIEC...

Jeszcze przed przybyciem do Salerno słyszeliśmy, że Włochy są bardzo zniszczone i wygłodzone. Przykre to, ale prawdziwe, Alianci przynosząc z sobą wolność, przynieśli zarazem głębsi wojenne: śmierć, zniszczenie, głód... Wiele miast leży w gruzach, ludność jest zdemoralizowana, rozproszona i zdeorientowana a U.N.R.R.A. nie bardzo sobie daje radę, bo są duże trudności z transportem, który w całości jest pochłonięty dostawami dla wojska.

Zupełnie też bliskie prawdy było powiedzenie, że za puszkę "corned beef'u" i kawałek czekolady, można mieć kobietę. Rzeczywiście, oprócz orzechów i jabłek, nie innego do jedzenia nie było widać, a mydło stało się luksusem po prostu nieosiągalnym. Do tego krytycznego i tak stanu zaopatrzenia, doszła niewyrażna sytuacja pieniężna. Z jednej strony liry nie były wycofane, z drugiej, wchodziły w obieg dolary i funty okupacyjne, oraz specjalne banknoty bite dla Włoch.

Gdy chciałem kupić kilkanaście kilo jabłek, na które ma się w mo-

Sprawy polskie w książkach angielskich

WIELKA BRYTANIA, TRAKTAT WERSAŁSKI A POLSKA

Nowa książka R. B. McCalluma* omawia stosunek brytyjskiej opinii publicznej do traktatu wersalskiego, ukazuje jak twarda postawa r. 1918 ustąpiła miejsca znużeniu, wątpliwościom, niezadowoleniu — by wreszcie przekształcić się w sympatię dla zwycięzonego, z którą szło w parze całkowite niezrozumienie słusznych żądań Francji.

Francję atakowano za nacjonalizm, militarystkę i za sojusz z takimi państwami, jak Polska i Czechosłowacja. Radykalni uważali, że czasy sojuszu minęły i że w każdym sojuszu mieści się zarodek wojny. Konserwatyści traktowali państwa Europy środkowej, które traktat wersalski powołał do życia, pogardliwie: byli zbyt małe i zbyt nowe. Jest rzeczą znaną, że żaden z wybitnych brytyjskich mężów stanu nie odwiedził nigdy Warszawy czy Pragi. Ignorancja święcia triumfu, McCallum cytuje audycję B.B.C. w noc noworoczną z r. 1932/1933: podnoszono w niej "z nieprawdopodobną bezczelnością i lekkomyślnością /with incredible insolence and frivolity/", że Polska większą część swego budżetu obraca na cele wojskowe. Zwrócił się do szeregu osób z zapytaniem, ile ludności liczy Polska. Przeważnie odpowiadano, że... cztery miliony.

Żaden z rządów brytyjskich nie rozumiał, że Polska, Czechosłowacja i inne mniejsze państwa mogły zapewnić Wielkiej Brytanii cenne bazy i potężnie wzmacnić jej pozycję wojskową. W szczególności Polska mogła odegrać wielką rolę jako czynnik oporu przeciw napaści Niemiec.

Tymczasem właśnie postanowienia traktatu wersalskiego dotyczące Polski były najmocniej atakowane. Już w czerwcu 1919 r. płk. Wedgwood piorunował w Izbie Gmin, że przyłączono do Polski terytorium Rzeszy bez przeprowadzenia plebiscytów. W lipcu t.r. komandor Kennworthy dowołał, że granice polsko-niemieckie powinny być wytyczone specjalne komisje mieszane. Stosunek do Polski powojennej znalazł szczególnie jaskrawy wyraz w książce Keynesa "Economic Consequences of the Peace /Gospodarcze następstwa pokoju/". Powszechnie uważano, że granice Polski są zbyt rozległe.

McCallum opisuje zmyśloną rozmowę Anglika, przebywającego na studiach w Rzeszy, z agituującym

go Niemcem: "Jest on ekspertem w zakresie wartości kulturalnych, i nie możesz bronić przed nim Polaków i Czechów. Czujesz się zapewne zobowiązany do nieustępowania w pewnych sprawach, w innych musisz ustąpić, gdyż jeśli choćby w jednej sprawie nie ustąpisz, będzie to trwało bez końca. Czy możesz bronić korytarza? Jesteś wdzięczny, że masz możliwość ugłaskania Cerbera. "Nein — wołasz, wdzierając się na chwilę śmiało i zwięźle do korytarza, którego naukę płacisz. — Nein, das ist zu viel". Harmonia została przywrócona. Udowodniłeś, że jesteś wspaniałomyślny, on zyskał ważny punkt, prawda, ale pierwszy, ale to początek. Już nie potrzebuje, by Ribbentrop powiedział mu, że Anglicy nigdy nie będą się bili o korytarz. Nic dziwnego, że kiedy dn. 3 września o godz. 11 według czasu letniego Anglicy zaczynają bić się o korytarz, Niemiec czuje się oszukany".

Mało zresztą Anglików dopuszczało możliwość, że Wielka Brytania wypowie wojnę z powodu pogwałcenia granic Polski: "wszystkie kanony zdrowego rozsądku nie dopuszczały podobnie dziwacznej fantazji". Ale tak się stało, mimo że zarówno konserwatyści jak liberałowie uważali granice Polski za doskonały przykład niedorzeczności traktatu wersalskiego. Rzecz prosta, że Wielkiej Brytanii nie chodziło o to, czy słupy graniczne znajdują się o kilkadziesiąt kilometrów na wschód czy zachód. Chodziło o zasadę, Monachium dowiodło, że pokojowa rewizja granic skończyła się katastrofą.

REWIZJA GRANIC POLSKI

Redaktor przyjaznego Polsce /w granicach oficjalnej polityki brytyjskiej/ doskonałego tygodnika "Spectator", William Harris, dokonuje w książce "Problems of the Peace /Zagadnienia pokoju/" — przeglądu najważniejszych zagadnień, którymi będzie się musiała zająć przyszła konferencja pokojowa.

Jeden z najistotniejszych jest stosunek Rosji do obszaru na wschód od Niemiec, który uważa ona za swoją "sferę wpływów". Chodzi przy tym nie tylko o to, czy Rosja rozstrzygnie złożone zagadnienia na tych obszarach sprawiedliwie, ale o sposób, w jaki je rozstrzygnie. Harris uważa los państw bałtyckich za przesadzony: w przyszłej Europie nie będzie zapewne miejsca na tak małe państwa niezależne. Inna sprawa z Rumunią i z Polską. Autorowi wy-

daje się, że Rosja nie zagraża niepodległości tych państw, pragnie jedynie przesunąć je bardziej na zachód.

Harris przypomina, że z traktatu brytyjsko-polskiego wynika jasno /"the natural implication of the treaty"/, że po porażce Niemiec Polska powinna "wejść w posiadanie terytoriów, które miała w r. 1939". Tak by się stało, gdyby decyzja zależała wyłącznie od Wielkiej Brytanii, Francji i Stanów Zjednoczonych. Stanowisko Rosji jest jednak inne. Oł czasu zaboru wschodniej Polski w r. 1939 zajmuje ona stanowisko nieprzejednane, mimo że przedtem wielokrotnie potwierdzała traktat ryski, mimo że w traktacie z Polską w r. 1941 unieważniła umowy z Niemcami dotyczące podziału Polski, mimo że Wielka Brytania wyraźnie oświadczyła, iż nie uznaje żadnych zmian w granicach Polski od r. 1939. Być może, przyszła konferencja pokojowa podzieli stanowisko Rosji, ale zanim to nastąpi, "jest rzeczą całkowicie niedopuszczalną, by to czy inne państwo, Rosja, Wielka Brytania, Stany Zjednoczone czy też sama Polska, miało uważać szczególnie sporną kwestię za rozstrzygniętą... na swoją korzyść, w dodatku jeśli to rozstrzygnięcie sprzeciwia się wyraźnie Kartie Atlantycznej".

Jeśli chodzi o zachodnie granice, Harris chwali rząd polski za wstrzeźliwość. Wchłonięcie zbyt wielkiego odesłka ludności niemieckiej może wywołać poważne powikłania, tym więcej, że element niemiecki będzie zawsze podsypany przez potężną mimo klęsk wojenną Rzeszę. Rojenia o ekspansji w kierunku Odry nazywa Harris "szaleństwem" i nie przypuszcza, by jakikolwiek rozsądny Polak myślał o tym na serio. Polsce przyspać powinna natomiast reszta Górnej Śląska i Prusy Wschodnie. Prusy Wschodnie były zawsze kolebką najbardziej napastliwego szowinizmu, są wroga i niebezpieczną enklawą w polskim terytorium, zagradzając Polsce dostęp do morza. Zagadnienie ludności niemieckiej nie będzie przedstawiało poważniejszych trudności: przetrzeźwiała ją wojna, okupacja rosyjska spowoduje masową ucieczkę, reszta zostanie przesiedlona. Harris przynajmniej, że oddanie Prus Wschodnich sprzeciwia się Kartie Atlantycznej, ale w pewnych wypadkach trzeba wybierać mniejsze zło.

W ŚWIECIE WIELICZKÓW

Powieść Elisabeth Kyle "The Slater's Waltz" /tytuł wzięty z na-

* The Slater's Waltz. By Elisabeth Kyle. Londyn, Peter Davis, 1944; str. 6nł, i 289 i 1nł.

zwy popularnego walca Waldteufela/ukazuje przygodę pięciu gubernantów angielskich, rzuconych przez los do różnych części dawnej monarchii austriacko-węgierskiej. Przebywają one wśród różnych narodów, ale prawie zawsze w sferze arystokratycznej. Koniec powieści rozgrywa się na początku obecnej wojny.

Miss Rose Neville styka się z przedstawicielami znakomitej rodziny polskiej ze Śląska. Ojciec hrabiny Wandy Wieliczki położył duży zasługi dla monarchii; dzieci, Roman i Ludmilla, należą już do pokolenia, które nie idzie na lep posad i zaszczytów: walczą ono o wolność Polski. Wprawdzie los właścicieli ziemskich — Polaków w Austrii nie jest najgorszy, ale położenie Polaków w zaborze niemieckim i rosyjskim zmusza Polaków w Austrii do rozpoczęcia akcji w celu uzyskania niepodległości.

Berlin podjdują Ukraińców i doprowadza do zaborstwa namiestnika Galicji Potockiego, spokrewnionego z Wieliczkami. Szybko przychodzi odwet: hr. Roman Wieliczki zabija w kawiarni wrocławskiej wysokiego urzędnika pruskiego. Władze niemieckie wydają go Austrii, i grozi mu kara śmierci. Stara hrabina Wieliczka przybywa do Wiednia, by wystarać się o audiencję u Franciszka Józefa i błagać go o łaskę. Niestety, intrzygi kamarylli dworskiej uniemożliwiają zabieg hrabiny.

W tym czasie Ludmilla, nie bacząc na ciężkie przeżycia, zainteresowała się starym złotym lustrem, które zobaczyła w oknie antykwarni i postanowiła je nabyć. Ale piękna Polka przyciągnęła uwagę sztywnego oficera austriackiego; pod pretekstem nabycia tegoż lustra, również i on zjawia się w sklepie. Spotyka się z ostrą odprawą. Także druga próba ataku — w hallu hotelowym — nie powiedziała się; Ludmilla obraża oficera. Po jego odejściu dowiaduje się, że jest to Felix von Gutenberg, adiutant cesarza, jedyny człowiek, który może wyrobić audiencję. Ludmilla waha się tylko przez chwilę; zabiera lustro i udaje się do pałacu Gutenbergów: Roman potrzebny jest dla sprawy, a Polska jest rzeczą ważniejszą, niż "nędzny honor /paltry honour/". Hrabina Wieliczka popiera decyzję córki.

Nazajutrz Ludmilla zwraca przyśniadaniom uwagę swoją bladą i podkrążonymi oczami, ale von Gutenberg dotrzymuje przyrzeczenia: hrabina uzyskuje audiencję i łaskę dla syna. Nie wiemy, jak się w pierwszej chwili zachował hr. Ladislas Harasowski, narzeczony Ludmili, również jak Roman przewódca ruchu niepodległościowego, kiedy dowiedział się od niej całej prawdy; widocznie jednak przebaczył, bo ślub

się odbył. Von Gutenberg przysyła jako prezent ślubny owo pamiętne lustro, a hr. Harasowski każe je zawiesić na ścianie na wieczną rzecz pamiątkę.

Po trzydziestu latach oglądamy Ludmillę w towarzystwie dwóch synów: ułomnego Witolda i przystojnego Ladislasa, w pałacu rodowym, w czasie najazdu niemieckiego. Ladislas, oficer kawalerii, po klęsce swego pułku, ukrywa się w pałacu w przebraniu cywilnym. Wpada oddział niemiecki pod dowództwem von Gutenbergów. Szuka Ladislasa, któremu grozi kara śmierci. Ludmilla przypomina von Gutenbergowi epizod wiedeński. Von Gutenberg z całą galanterią zaznacza, że do raju sztuka. Wówczas Ludmilla wyznaje, że jeden z młodych ludzi jest jego synem. Nie powie jednak, który. Von Gutenberg staje przed strasliwym dylematem, bo nie może rozstrzelać własnego syna, a rozpoznanie jest niemożliwe, gdyż zarówno Ladislas jak Witold podobni są do hrabiny. Na razie rezygnuje w zawieszeniu, później von Gutenberg wyłudza sekret od własnego wnuka a syna Witolda, małego chłopczyka Karola. Ladislas idzie na rozstrzelanie, a Witold ginie z ręki starego sługi Zareffa, który wprowadził strzelbę do Niemców, lecz trafia we własnego pana.

Ta nieprawdopodobna bajda mówi sama za siebie i nie trzeba znać się nad autorką, która jest ożywiona najlepszymi chęciami i zawiła tylko tyle, że ma błędne wyobrażenia o polskiej arystokracji /ze Śląska/. Dziwne jest tylko, że przy tym wszystkim p. Elisabeth Kyle ujawnia pewną znajomość spraw polskich, że np. zdaje sobie sprawę z roli Wiednia w kwestii ukraińskiej, że umie podchwycić tak znamienne dla polskich antysemitów odruchy przyjaźni dla Żydów, że orientuje się w stosunku Węgrów do Polaków, że wie, kto to byli Bem i Janosik, i t.d. i t.d. Potrafi zdobyć się nawet na humor polityczny, ukazując jak dwie Angielki, które wyszły za mąż, jedna za Węgra, druga za Czecha, przeżyły się szowinizmem swoich mężów, pierwsza w stosunku do Rumunów, druga w stosunku do Austriaków.

Wprawdzie Huculi nie mieszkają w Tatrach, Tatrzańską Łomnicą należą do Słowacji a wiedeński Hotel Erherzog Rainer nie jest hotelem arystokratycznym i nie znajduje się na Ringu — ale, doprawdy, są to drobiazgi. Pocięliśmy się, że w wybitnie polonofilskim utworze dramatycznym z czasów kościuszkowskich "The Fall of Poland" /Londyn 1855/ występuje "małżonka" Kollataja /jak wiadomo księżka/, która ma na imię... Radziwilla.

SCRUTATOR

O PRAWDZIWYCH PRZYJACIOŁACH POLSKIEGO ŻOŁNIERZA

Szanowny Panie Redaktorze, W szeregu zdawkowych frazesów, od których roją się korespondencje z "placu boju", utonąła już niejedna prawda o 1 Dywizji Pancernej. W powodzi szumnych słów o "entuzjastycznym przyjęciu", o "szalejących z radości tłumach" i stereotypowych opisach oficjalnych uroczystości, zginęła również prawda o niciach serdecznej przyjaźni, jaka zawiązała się między polskim żołnierzem, a ludnością wyzwolonej Belgii. Przyjaźni, która, jak polsko-australijskie braterstwo broni, jak przyjaźni polsko-szkocka, oparta jest na głębszych uczuciowych podstawach i która nie wygasła z chwilą przemienienia pierwszego entuzjazmu wyzwolenia.

W naszych oficjalnych raportach /a jakże ciężko na nich i jak nas żołnierzy frontowych denerwuje ich oficjalny styl/ wyzwolona Francja, Belgia, Holandia — odmalowane są w tych samych barwach. Nam jednak się wydaje, że Belgowie zasłużyli sobie na słowa szerszej sympatii i wdzięczności, tak — wdzięczności! Od pierwszej chwili przekroczenia granicy belgijskiej uderzyła nas mniej głośna, ale za to budząca zaufanie serdeczność, entuzjastyczne okrzyki na cześć Polski, gdy tylko zostały rozpoznane nasze orzełki na czapkach i przede wszystkim ów szczerzy uśmiech radości, który rozświetlał twarze wyległych na ulice tłumów.

W szalonym pościgu migały przed naszymi oczami wsie i miasta belgijskie. Niekiedy kilkadziesiąt metrów dzieliło nas od uciekającego nieprzyjaciela, a już pierwsze nasze szeregi witane były flagami belgijskimi, dumnie powiewającymi z okien domów, a tłumy, nie zważając na padające jeszcze strzały, witalowały nas naszą cześć. Nieraz dopadaliśmy uciekających Niemców na skraju osiedli, lub miasteczek. Nieprzyjacieli otwierali do naszych czołgów ogień przeciwpancerny, z okien padały sniperskie strzały. Konieczność wojenna zmuszała nas do rozwinięcia siły ognia. Walili się wtedy i płośnie belgijskie domy. Znow jednak, po przerwaniu oporu, zza gruzów i pogorzeliś powiewały do nas czarno-żółto-czerwone chorągiewki i witały nas rozjaśnione niewymuszonym

uśmiechem radości twarze ludzi, którzy przed chwilą utracili cały swój dobytek.

Walka o Belgię, jak każda walka, pochłonięła ofiary i z naszych szeregów. W Belgii jednak nie my już musieliśmy się kłopotać o groby dla naszych kolegów. Ludność cywilna, księża, zakonnicy... dbali już o to, by zwłoki żołnierza-tułaça spoczęły na honorowym miejscu tutejszego emmentarza, by groby umajone zostały świeżymi kwiatami, by zwiędłe kwiecie zastąpiła nowa wiązanka, nowym wieńcem. Na całym świecie pełno dziś grobów polskich żołnierzy. Nigdzie jednak groby te nie są otaczane taką czcią i taką troskliwością ogółu — jak w Belgii.

W Belgii nie trzeba było rekwirować kwatery — to my tam po prostu siłą "rekwirowani" byliśmy na kwatery. Okrytemu kurzem francuskim i belgijskim drog żołnierzy odstępował gospodarze swoje wygodne, czyste łóżko. Wsadzali nas do niego, nie zważając na głośnie protesty wypowiedziane we wszystkich znanych nam językach. Odpoczynek poprzedziła musiela nieodwołalnie skromna kolacja — czym chata bogata, tym rada /a nie była ona bogata po czterech latach okupacji niemieckiej/.

Gdy w mieście wypały nam dłuższy postój — szeroko otwierali się

Za spokój dusz drożych kolegów pułkowych:

ś.p.

por. Z. ZAWAŁSKI,

por. R. SIKORA,

ppor. Z. PRZYBOROWSKI,

ppor. J. WALCZYŃSKI,

ppor. T. SARO,

ppor. A. SZPERBER,

kpt. W. KOWNAS,

ppor. W. KUCZOWICZ

oraz szeregowych tego pułku panc., poległych w walkach we Francji /Cramesnil, Caucourt, Jort, Baron, les Champeaux i Coudehard/, Belgii /Ypres, Hoogdele, Ruysselede, Aeltre, Beveren-Waes i Merzplas/ i Holandii /Baarle Nassau, Alphen, Gilze, Breda i Moerdijk/ została odprawiona Msza Św. w kaplicy obozowej w Kinross dnia 21.XII.44

Przyjaciel pułku

Skrzynka pocztowa

przed nami drzwi belgijskich domów. Często już nawet uciążliwe, lecz zawsze serdeczne zaproszenia spływały na każdego, który w jakimkolwiek języku potrafił się porozumieć z "tubylcami". Żołnierza skrupowanego niezbyt wykwinętnym stanem polowego munduru, gościły komfortowe salony belgijskich bogaczy, dostojnie mieszkani inteligencji i robotników. Wszędzie podziwialiśmy /pcha się po prostu pod pióro określenie: staropolska/ gościnność Belgów, ich nieidekłamowaną radość z powodu wyzwolenia i ich specjalną, tak — specjalną — sympatię dla Polaków. W długich rozmowach nieraz słyszeliśmy niedawkowe słowa uznania dla walczącej jeszcze wówczas Warszawy, słyszeliśmy słowa szczerze zainteresowania sprawą polską, której echa dotarły tutaj poprzez okupacyjną cenzurę. Nie słyszeliśmy natomiast "przyjaźnielskich" rad, by "zrezygnować z bezcelowego uporu".

Po kilku dniach pobytu Polaków w mieście nie tylko młode dziewczęta, nie tylko dzieci, ale nawet stateczne panie i starsi panowie nosili na ubraniach polskie orzełki, "Polandy" i białoczerwone proporczyki, rozdzielane przez nas hojnie jako "souveniry".

Minął okres naszego pobytu i marszu przez Belgię. Tułaczki szlak zawiódł Dywizję Pancerną do Holandii. Wspomnienia z Belgii, jedno z najmielszych wspomnień pięcioletniej tułaczki, głęboko utkwiły w naszej pamięci. Setki listów, jakie codziennie mimo trudności pocztowych wędrowały w obie strony, odświeżały te wspomnienia. Nasze szlaki przepustkowe nie wiodą do Francji /chyba że ktoś tam ma rodzinę/, ani do wyzwolonych miast Holandii, ale do Gandawy, Brukseli, Antwerpii i innych miast i miasteczek Belgii. I nie ciągnie nas do nich nadzieja wesołej zabawy, ale nadzieja odetchnięcia przynajmniej przez kilka dni w serdecznej atmosferze przyjaźnielskiego, cywilnego domu. W atmosferze, której każdy z nas bardziej jest spragniony, niż najbardziej szampańskiej rozrywki. A wita nas w Belgii, chociaż przewinęli się przez nią setki tysięcy alianckich żołnierzy, ta sama gościnność, ten

sam serdeczny uśmiech — uśmiech zarezerwowany wyłącznie dla Polaków. Witają nas obnoszone nadal polskie odznaki.

Czemu zawdzięczamy to wyróżnienie? Może starym więzom przyjaźni, łączącym nasze narody; może lojalności, z jaką bohaterski naród belgijski ocenia nasz wkład do tej wojny; może zrozumieniu naszej ciężkiej obecnej sytuacji, zrozumieniu, które ułatwia burzliwa historia ich kraju; a może wreszcie wzorowemu zachowaniu się żołnierzy Dywizji, którzy stanęli na wysokości zadania nie tylko na polach bitew, ale i we współżyciu z ludnością cywilną uwolnionych krajów. Zresztą wszystkie te czynniki zapewne odegrały tu swoją rolę, stwarzając atmosferę, w której — gdyby nie trudności językowe — czuliśmy się niemal jak w rodzinnym kraju.

Na zakończenie chciałbym jeszcze wyrazić kilka słów uznania dla Belgijskiej Armii Podziemnej. Nie mnie szarakowi oceniać jej wkład do ogólnego wysiłku Sprzymierzonych, ani oceniać jej zdolności bojowej. Co jednak rzuciło się w oczy każdemu z nas — to fakt, że żołnierze belgijscy w białych, lnianych mundurach zajmowali swe posterunki bojowe, nie czekając na nadejście regularnych sił sojuszniczych, że często

ś.p.

ZDZISŁAW JAWORCZAK

st. strz. z. cenz.

poległ na froncie zachodnim,

w 1944 r., przeżywszy lat 20.

Cześć Jego pamięci!

Przyjaciele

ś.p.

por. WITOLD KOZANECKI

dowódca baterii

Kawaler Orderu Wojennego

Virtuti Militari V kl.

padł na polu chwały w dniu

... I.1945

pod Kapelsche Veer w Holandii

O czym zawiadamiają

Dowódca, Oficerowie i Szeregowi

Pułku Artylerii Motorowej

nasze przednie strzaże wchodząc do miasteczka czy wsi, zastawiały ją już ubezpieczoną belgijskimi placówkami. Belgijscy żołnierze narzucali się też po prostu naszym dowódcom swoją gotowością do wykonania trudnych i odpowiedzialnych zadań bojowych. Pochlebnie też świadczy o belgijskiej "Białej Brygadzie" sympatia i duma, z jaką wyraża się o niej ludność cywilna.

Przypuszczając, że te stwierdzenia uzupełniają w pewnej mierze, obraz, jaki Pan Redaktor usiłował dać w swoim piśmie o wysiłku i roli Dywizji na kontynencie, łączę wyrazy prawdziwego i głębokiego szacunku oraz żołnierskie pozdrowienia.

Karol Lewkowicz

ODZNAKI ZA ODNIESIONE RANY

Ponieważ żołnierze przebywający w szpitalach brytyjskich i polskich dopytują się, czy i kiedy mogą nosić odznakę za odniesione rany, wyjaśniamy, że sprawy te zostały uregulowane przepisami mundurowymi Wojska Polskiego, podanymi w Dzienniku Rozkazów nr. 51 z roku 1941, L.dz. 1340/G./M./41, w następującym brzmieniu: "Odznakę honorową za rany i kontuzje nosi się na kurtce ubioru garnizonowego, powyżej orderów. Odznaka ta stanowi naszywkę ze zwężonej do połowy wstęgi V.M. naszytej poziomo z pięciokamiennymi, matowymi srebrnymi gwiazdkami, oznaczającymi ilość ran, przy czym rany odniesione w jednej bitwie oznaczają jedną gwiazdkę. Długość wstążeczki wynosi 4 — 7 cm., zależnie od ilości gwiazdek.

Prawo noszenia odznaki honorowej dla żołnierzy za rany i kontuzje — przysługują odnośny dowódca dywizji, względnie wyższy lub równorzędny dowódca".

W sprawie noszenia odznaki za rany, żołnierze przebywający w szpitalach brytyjskich i polskich winni zwracać się na piśmie do swojego dowódcy lub w razie jakichkolwiek trudności w tej sprawie — do Biura Opieki nad Żołnierzem M.O.N., Wydział Dobrobytu Żołnierza /adres: Vandon House, Vandon Street, London, S.W.1/, który poczyni starania w celu przeprowadzenia formalności związanych z nadaniem odznaki honorowej za rany.

NA "PACZKI OD SERCA" DLA JEŃCÓW Z ARMII KRAJOWEJ

W załączeniu przesyłam czek na sumę £5 /pięć/ z prośbą o przekazanie na paczki dla Kobiet-Jeńców z Armii Krajowej.

M. Frolowicz

W załączeniu przesyłam Money Order na sumę £11.16.7 /słownie: jedenaście funtów, szesnaście szylingów i siedem pensów/, jako dochód z zabawy urządzonej w dniu 12.1.1945 r. na jeńców wojennych.

Równocześnie przesyłam sh.5 /słownie: pięć szylingów/ — dobrowolny dar szer. Litwa Jerzego z ... Kol. Sam. Sanit. na ten sam cel.

P. o. Oficer Opieki
st. szer. K.

W załączeniu przesyłam £7 /siedem funtów/ z przeznaczeniem na "Paczki od serca" dla Jeńców z Armii Krajowej.

Kwotę powyższą ofiarował I. Dział 4 Baterii.

NA POLISH CHILDREN RESCUE FUND

£13.9.0 na polskie dzieci wywiezione do Francji.

od E.S. i jego kolegów

Ministerstwo Odbudowy Administracji Publicznej, Dział Administracji Okupacyjnej zamierza urządzić w początkach miesiąca marca br. w Londynie II kurs okupacyjny dla urzędników średnich administracji ogólnej. Czas trwania kursu będzie wynosił 3 miesiące.

Warunki przyjęcia na kurs:

1. ukończenie gimnazjum nowego typu /matura/ lub wykształcenie równorzędne.
2. znajomość języka niemieckiego
3. złożenie zobowiązania do 2-letniej służby na terenach okupowanych według dyspozycji M.O.A.P.

Osoby, które pracowały w administracji państwowej lub samorządowej oraz byli zawodowi wojskowi mogą być w uzasadnionych wypadkach zwolnieni przez M.O.A.P. od wymaganego cenzusu.

Kandydaci pragnący wziąć udział w powyższym kursie zechcą nadesłać zgłoszenia wraz z krótkim życiorysem i zobowiązaniem /pkt. 3. warunków przyjęcia/ lub też zgłosić się osobiście do M.O.A.P. Dział Admin. Okupac. Referat Administracji Ogólnej w terminie ostatecznym do dnia 15 lutego 1945 r. Adres dla zgłoszeń nadsyłanych pocztą: Polish Ministry of Reconstruction of Public Administration, 12/13, Grafton Street, London, W.1.

Na pomoc Warszawie: £2,275

W załączeniu przesyłam Money Order na sumę £4 sh.3 d.5 stanowiącą dochód z zabawy urządzonej w Świetlicy w Szkole Pilotów Podstawowego i proszę uprzejmie o przekazanie tych pieniędzy na Fundusz Pomocy Warszawie.

Świetliczarka J.N.

Przesyłam załączone postal orders na sumę £5.5.0 złożoną przez Polskie WAAF ze Stacji Lotniczej Newton, N. jako prezent gwiazdkowy z przeznaczeniem na pomoc dzieciom polskim z Warszawy.

Uprzejmie proszę o przekazanie załączonych £15 na pomoc Warszawie. Pieniądze te zostały uzyskane za lalki na loterii fantowej w: 1/ Polskim Odz. Płucnym przy Bryt. Szpitalu Bridge of Z. £5, 2/ Spadochronowej Kompanii Zaopatrzenia £10.

M. Wysocka

£10.10.0 for the Help for Warsaw Fund from the inhabitants of Comrie.

Pieniądze uzyskane w sumie £2.7.0 z bilardu "Kaprali" w C.W.P. i T. przekazuję na pomoc dzieciom Warszawy.

K.W. kapral

NA POMOC DLA KRAJU

W załączeniu przesyłam dwa B.M.O. na łączną kwotę £93.9.0, którą szeregowi ... Kompanii, Obozu Szkolno-rozdzielczego "A" zebrali samorzutnie, przeznaczając ją na "Pomoc dla Kraju".

J. S. P/114

D-ca Kompanii ...

W załączeniu przesyłam kwotę £8.1.6 zebraną przez pacjentów Polskiego Ośrodka Rehabilit. na "Pomoc dla Kraju".

Welfare Officer W.M.

W dniu imienin p. Komendanta Szpitala Wojennego Nr. 2 Plk. Dr. Mazanek Henryka zamiast kwiatów £6 /sześć funtów/ na pomoc dzieciom w Polsce.

Siostry dyplomowane

Bezmiennie £1 na pomoc Warszawie zamiast kosztów poszukiwania.

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £145.15.11 /słownie: sto czterdzieści pięć funtów, piętnaście szylingów i jedenaście pensów/ przekazaliśmy Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczacej" do £2,275.14.10 /słownie: dwa tysiące dwieście siedemdziesiąt pięć funtów, czternaście szylingów i dziesięć pensów/.

BŁĘKITNY FUNDUSZ

Przesyłam "Postal Order" na 20 sh. na fundusz dla "rannych Armii Krajowej".

A.L.

W załączeniu przesyłam M.O. na kwotę £13.17.0 na "Fundusz Błękitny". Kwotę tą składają pacjenci Auxiliary Hospital w Aberfeldy.

Jeden z pacjentów

Zamiast opłaty za nekrolog sh.10 na "Błękitny Fundusz"

przyjaciel pułku

PODZIĘKOWANIE

Delegatura P.C.K. w Edynburgu składa najserdeczniejsze podziękowanie Dowódcy, Oficerom, Podoficerom i Szeregowcom ... Komp. Warsz. Dyw. Grenadierów Panc. za hojną ofiarę 150 paczek świątecznych, nadesłanych do Delegatury do rozdania pomiedzy rannych żołnierzy w Szpitalach na terenie Szkocji.

ZJAZD I WALNE ZEBRANIE, ZRZESZENIA EWANGELIKÓW — POLAKÓW W W. BRYTANII

odbędzie się w Edynburgu, dnia 2 i 3 lutego br. w New College.

Porządek dzienny Zjazdu: Piątek, dnia 2 lutego 1945, godz. 6.00. Herbatka towarzysząca w New College. Sobota, dnia 3 lutego 1945, godz. 10.00. Nabożeństwo i Komunia św. w St. Giles Cathedral, godz. 12.00. Otwarcie Zjazdu oraz przywitanie gości i członków przez prezesa Dr. B. Koźmiankę w New College, godz. 1.00. Wspólny obiad.

Obiady Walnego Zebrania rozpoczynają się w dniu 3 lutego o godz. 3.00.

W wypadku niezrealizowania programu o godz. 3 w pół godziny później odbędzie się Walne Zebranie które już będzie prawomocne bez względu na liczbę obecnych.

Kierownictwo Zjazdu zarezerwowało pewną ilość bezpłatnych noclegów. Spis będzie się znajdował w Y.M.C.A. St. Andrew's Street /naprzeciw stacji kolejowej Waverley/ gdzie, począwszy od dnia 2 lutego, godz. 10.30, będzie można otrzymać wszystkie potrzebne informacje, dotyczące Zjazdu i zakwaterowania.

Kto z członków Sił Zbrojnych chce korzystać z bezpłatnego noclegu z dni 2 na 3 lutego, oraz obiadu dnia 3 lutego winien zgłosić się listownie najpóźniej do dnia 30 stycznia nad adresem: Ks. N. Goreń, 5 Colbride Terrace, Edynburg.

Minister Obrony Narodowej, nismem z dnia 16 stycznia 1945 L.dz 32/W Pol. 145 zezwolił osobom należącym do Polskich Sił Zbrojnych /Armia lotnicza, marynarka/, członkom Zrzeszenia na udzielenie ulgowego wzięcia udziału w Zebraniu i Walnym Zebraniu, mającym się odbyć w Edynburgu w dniach 2 i 3 lutego br.

POSZUKIWANIA

LEONARD POTRAC, urodzony 26.X.1919 w Wielkim Kłinczu, powiat Kościński, Pomorze, poszukiwany przez Pomarańskiego Edmunda P/76 Polish Forces.

STANISŁAW SZAJKOWSKI, urodzony 15.8.1916 w Tylicach, powiat Toruń, poszukiwany przez Faleńskiego Antoniego P/76 Polish Forces.

JAN SMOLKA ma list do odebrania w Redakcji "Polski Walczacej".

Kpt. KAZIMIERZ BANASIŃSKI ma list do odebrania w Redakcji "Polski Walczacej".

P. JÓZEF SZEMKA ma list do odebrania w Redakcji "Polski Walczacej".

P. ZBIGNIEW DOMINIK ma wiadomość w Redakcji "Polski Walczacej". Prosimy o podanie adresu.

Poszukiwani przez Karola Wilczewskiego: ALFRED MOTYKA, ur. 1914 r. w Boguszowicach /ostatni adres Boguszowice/, JERZY REGINEK ks. ur. 1910 r. w Katowicach /ostatni adres prob. Murcki/, GERARD REGINEK ur. 1911 r. w Katowicach /ostatni adres Katowice/, JAN BUCHALIK ur. 1920 r. w Paruszewicach /ostatni adres Rybnik/, JÓZEF BUCHALIK ur. 1922 r. w Jaruszewicach /ostatni adres Rybnik/, JÓZEF BANSKI ur. 1914 — 17 r. w Lasowicach /ostatni adres Tarnowskie Góry/, WIKTOR SZEWCZYK ur. 1905 r. w Boguszowicach /ostatni adres pow. Rybnik/, TOMASZ REGINEK ur. 1887 r. w Opolu /ostatni adres Rybnik/.

Poszukiwani: przez Z. Grabow-

skiego: ALOJZY GAJTOWSKI ur. 1923 w Chełmży /ostatni adres Chełmża/, przez Jana Pruseckiego: ANTONI GÓRALSKI ur. 1912 w Lipinkach /ostatni adres Lipinki/, przez Aleksandra Borowskiego: KAZIMIERZ ORŁOWSKI ur. 1926 w Bydgoszczy /ostatni adres Bydgoszcz/, przez Antoniego Góra: TEODOR GÓRSKI ur. 1901 r. w Redzie /ostatni adres pow. Wejherowo/, przez Antoniego Góra: PAWEŁ GÓRSKI ur. 1915 r. w Redzie /ostatni adres pow. Wejherowo/.

Wszelkie wiadomości należy kierować: Oficer Opieki: Polish Forces P/84.

Poszukuje osób, któreby mogły udzielić informacji o wypadkach i warunkach życia w okresie 1939 — 44 w okolicy Strzja /Daszawa/.

Zgłoszenia do Redakcji "Polski Walczacej" pod "K.R."

NASI W LONDYNIE ...



—Panie, co to za jeden w tych okularach?

—To jeden z naszych pesymistów. Wszystko widzi na czarno ...

DOBRA RADA

Do lekarza wojskowego zwraca się żołnierz:

—Panie doktorze, jestem chory!
—A co wam dolega?
—Pięca mnie boli, gardło nawala, szumi w głowie, żołądek boli, reumatyzm szarpie i wątroba się odzywa ...

—Radzę tych rzeczy nie bagatelizować! Musicie pójść do lekarza i dać się zbadać! ...

GDZIEŚ W SZKOCJI

W niedzielę mają się odbyć ćwiczenia polskich spadochroniarzy.

Instruktor Anglik jest niezadowolony. Mruczy pod nosem: "Chcecie to skacząc — ale nie gwarantuję wam czy się o t w o r z a ... Przecież to jest niedziela szkocka".

CZEKAJ TATKA LATKA ...



—Panie marszałku, zimno mi jest!
—Nie szkodzi, jeszcze rozgrzejecie się, jak będą awanse. Zostaniecie sierżantem i wtedy otrzymacie przydział whisky ...

NA KURSIE OFICERÓW RACHUNKOWYCH

—Panie kapitanie, proszę dać przykład na równanie o dwóch niewiadomych.

—Konferencja Roosevelt-Churchill i konferencja Roosevelt-Churchill-Stalin!

—To jest równanie o trzech niewiadomych. Jeszcze nie wiemy, kiedy dojdzie do skutku ...

Tekst i rysunki: TONY

WERINAJSEK

... ŚMIEJMY SIĘ — BO KTO WIE CZY WOJNA POTRWA TRZY TYGODNIE ...

POCIESZENIE



—Wodzu, Rosjanie przeszli granicę Rzeszy ...
—Całe szczęście, myślałem, że przejechali na czołgach ...

W GRONIE SPECÓW WOJENNYCH

Pewna mieszkanka Palestyny, pisze do jednego z młodych oficerów — na adres m.p. Szkocja: "Ty mój orle biały, ja bez Ciebie żyć nie mogę! ..."

ĆWICZENIE NA CZASIE



—Co to się stało, że Polacy tak salutują?

—To umyślnie, ażeby im ręce nie opadały ... ze zmartwienia.

MIEDZY PESTKAMI

—Ale skąd ona awansowała na podporucznika?

—Jak to skąd? Przecież ukończyła podchorążówkę kawalerii jeszcze w Grudziądzu ...

APEL

Delegatura P.C.K. w Edynburgu zwraca się z gorącym apelem do wszystkich Polaków w Szkocji o pomoc w dostarczeniu rannym i chorym żołnierzom w Szkocji — przedmiotów mogących umilić im czas ich pobytu i choroby w szpitalu. Najbardziej pożądane są: polskie książki naukowe i beletrystyczne, zapalniczki, słodycze i t.p.

Dary należy składać w Delegaturze P.C.K. — Sekcja Szpitalna, 7, S.E. Circus Place, Edinburgh. Telefon 20762.

SPIS RZECZY:

Aleksander Janta: Odpowiedzi na ankietę. — Aleksander Janowski: Prawo do niepodległości. — Aleksander Boray: Przegląd tygodniowy. — M. J. Gordon: Nowości lotnicze. — Z tygodnia na tydzień. — Z prasy i walk Armii Krajowej /Koleżeństwo broni. Edwin: Łączność działa. Świadek: Celestynów po raz trzeci/. — Jerzy Głębocki: Wyspa wiatru. Rzecz o Dywizjonie Obrony Wybrzeża. — Krzysztof Klinger: Salerniejskie wspomnienia ze "Słazaka". — Scrutator: Sprawy polskie w książkach angielskich. — Skrzynka pocztowa. — Tony: Werinajsek.

EDYNBURG

40, Bruntsfield Place. Tel. 52396.
2, Drumsheugh Place. Tel. 21712.
Obok West End, na przedłużeniu Queensferry Street.

KSIĘGARNIA POLSKA "CO SŁYCHAĆ"

Posiada wielki wybór książek polskich i angielskich. Słowniki i podręczniki szkolne. Kalendarze ścienne i kieszonkowe. Upominki, orzelki, dystynkcje i odznaczenia wojskowe. Sprzedają gazety i czasopisma.

BARWNA MAPA POLSKI

wraz ze zwięzłym skrótem statystycznym w języku angielskim i francuskim /umieszczonym na boku mapy/. Format 17½" x 22½ cali, ukaże się wkrótce w sprzedaży.

Cena 2/6

Cena 2/6

Cała rozsprzedaż tej mapy oddana do Kiosku w Ognisku Polskim w Londynie, 45, Belgrave Square, S.W.1.

Ze względu na ograniczony nakład, uprasza się o zgłaszanie zamówień jak najszybciej, tylko pod adresem Kiosku.

WYDAJE BIURO OPIEKI NAD ŻOŁNIERZEM MIN. OBR. NAROD.

Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. 1-e piętro. Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-ej — 13-ej. Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową — sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową — sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam — sh.20. Zarezerwowane miejsce 50% drożej. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy — 2sh. za wiersz.

Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506.

Printed for "Polska Walczaca" by St. Clements Press, Ltd., Portugal St., Kingsway, W.C.2. Registered at the G.P.O. as a newspaper.

ŁATWY PODRECZNIK ANGIELSKIEGO

w 20-tu LEKCJACH

ukaże się w sprzedaży w najbliższych dniach. Cena 2/-

Przerobienie 20-tu lekcji daje dobre podstawy do dalszej nauki. Słówka podane z wymową. Ćwiczenia łatwe i dające się zastosować w codziennej konwersacji. Skład główny: Administracja Dwutygodnika "CO SŁYCHAĆ", 40, Bruntsfield Place, Edinburgh, Tel.: 52396.



BE TALLER! INCHES PUT YOU MILES AHEAD!

Increased my own height to 6ft. 3 1/2 ins.

CL'ENTS GAIN 1 to 6 inches No Appliances — No Tablets — No Dieting

Ross System N. ver Fails Fee £2 2s. Complete Details 6d. stamp

MALCOLM R. ROSS Height Specialists, BM, Hyte, London, W.C.1